



## SZCZĘŚCIE KOBIECE

POWIEŚĆ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

### ROZDZIAŁ I.

**K**omuż nie znane są widoki malownicze podgórza karpackiego? Któż zbliżając się do gór dziwnie połamanych, nie wziął ich zrazu za obłoki rozpięte na krańcu widnokregu? Dopiero zwolna niknie złudzenie, mglista masa zaczyna się szykować w cudowny obraz, a podróżny wpada w drugie złudzenie, myśląc, że już jest tak blisko kresu podróży, że za chwil kilka sięgnie ręką po kłamkę tego białego dworku, który widzi przed sobą w tak wyraźnych zarysach.

Niestety, to drugie złudzenie gorsze od pierwszego. Niecierpliwość wystawiona na najgorszą próbę. Dwór biały z czarną grupą drzew umknął gdzieś z przed oczu, gdy prawie ręką można go było dosięgnąć! Za dobrą godzinę okazał się znowu, jak się okazują smaczne potrawy zgłodniałemu Tantalowi, ale okazał się tylko na to, aby znowu ukryć się w jakąś przepaść tajemniczą. Droga bowiem nie idzie prostą linią, okrąża skały i jary, wiję się ponad brzegiem potoku, pnie się na grzbiet góry i wpada w dolinę, a za każdym zwrotem zmienia się widok, upragniony dwór biały zjawia się, chowa i ucieka, jakby był istnym upiorem.

Niwelująca wszystko cywilizacja europejska nie dosięgła tutaj, nawet komisarz drogowy z powiatowego miasta uznał po kilku próbach, że siły i środki jego z siłami natury mierzyć się nie mogą.

To też obraz tego ustronia jest taki sam dzisiaj, jakim był przed dwudziestu kilku laty, gdy na wózku pocztowym pod sporą górę jechał młody mężczyzna, którego jasne włosy rozdmuchiwał wietrzyk letni.

Młody podróżny miał twarz przyjemną, spojrzenie bystre i lekki zarost wkoło brody. Głowa pochylona na piersi okazywała, że jest zamyślony; często jednak wyrzucał ją do góry jak hardy rumak, który na chwilę zapomni o wędzidle. Wtedy postać jego miała urok malowniczy. Znamionowała człowieka, który gotów był świat cały wyzwąć do walki, a przedewszystkiem zgnieść i zrównać owe nie- wygodne garby ziemi, które geografia górami nazywa.

Na koźle obok poczytyliona siedział drugi mężczyzna. Z ubioru i całego zachowania wypadało sądzić, że był to służący. Miał jakiś szary kubrak na sobie, przepasany prostym rzemieniem. Siwiejące włosy okrywała czapka pomięta z wygiętym w górę daszkiem; ręce były grube, narobione. Twarz miał może przed dwoma tygodniami ogoloną, dzisiaj jednak zasiana była pod same oczy sterczącą szczecią białawo-płowej barwy. Brwi ściągnięte do góry były czarne i bujne, a pod nimi palily się ciemne oczy i w chwilowych wyblaskach przybierały wyraz cierpienia i przeżytych boleści, jakto często widzieć się daje u ludzi walczących z pierwszemi potrzebami życia: z głodem i zimnem.

Ponieważ jazda pod górę szła wolno, poczytylion dla rozrywki swojej i podróżnego zaczął trąbić niektóre ułamki walców i ländlerów.

— Zatrąb Dąbrowskiego — ozwał się podróżny.

Pocztylion obejrzał się na podróżnego, patrzył na niego chwilę, potem obejrzał się dokoła, od jednej góry do drugiej, od lasu aż do potoka, potem przytknął do ust trąbkę i niezbyt głośno zaczął wydmuchiwać pierwsze takty znanej melodyi.

Zapewne siedzący obok niego towarzysz nie lubił wogóle muzyki, lub był wyższym od trąbiącego pocztyliona artystą i fałszywych tonów znieść nie mógł, bo dosyć boleśnie łokciem w bok go trącił i do milczenia zmusił.

Pocztylion zrozumiał admonicę i puścił trąbkę. Chcąc jednak przerwany zapał artystowski w inny sposób spotrzebować, zaczął raźniej konie batogiem okładać, i daleko prędzej, niż się spodziewał, wyjechał na górę.

Na górze stanęła jadącym w drodze karczma z białym gontowym dachem i z sienią otwartą gościnnie na ich przyjęcie. W sieni stał sędziwy Abraham i pilnie im się przypatrywał. Był to chasyd prawowierny, z pejsami i „cyceles“, w białych pończochach i głęboko wyciętych patynkach.

Gościnnie arendasz nie stał tutaj w sieni przypadkiem. Przed chwilą siedział w alkierzu za stołem i płaczącym głosem wyciągał skargi Jeremiasza nad upadkiem nie szczęśliwego Syonu. Trąbka jednak pocztyliona przerwała mu lamentacje patryotyczne. Zasłyszał znaną sobie melodię. Zamknął świętą księgę i pospieszył do sieni, aby obaczyć podróżnych, którzy dla rozweselenia serca potrzebują owej nuty.

Trąbka pocztyliona wzbudziła w prawowiernym chasydzie jeszcze inne myśli. Przed kilkoma dniami był u niego komisarz obwodowy i napomknął mu, aby na podróżnych szczególniejszą zwracał uwagę, gdyż nadchodzą czasy, jak się wyraził komisarz, nie bardzo bezpieczne. W czym jednak to niebezpieczeństwo zależeć mogło, nie powiedział komisarz, ale dał arendarzowi do zrozumienia, że powinien mieć się na baczności i donieść mu, jeżeli obaczy coś podejrzanego. Do tego dodał nadzieję konsensu wyszynku na wódki słodzone, który stanowił obojętne prawa propinacyjnego.

Widmo konsensu stanęło teraz przed oczyma Abrahama. Jakkolwiek wnętrzości jego, jak się wyraża prorok, rozruszane były skargą Jeremiasza nad upadkiem Syonu, doznał jednak w tej chwili przyjemnego wrażenia, gdy sobie pomyślał, że może właśnie dobry Jehowa prowadzi mu przed karczmę coś takiego, o czym właśnie wspominał komisarz.

Od swego ojca słyszał Abraham, że w górach niegdyś gospodarowali opryszki. Być może, że podobna gospodarka mogłaby się powtórzyć, bo cóżby innego miał komisarz na myśli?

Tak myślał sobie Abraham, stojąc w progu karczmy i ciągnąc dalej skargę jeremiaszową, wśród której emokał

czasem językiem do widma obiecanego konsensu na wódki słodzone, gdy wózek pocztowy zrównał się z karczmą.

Abraham podniósł jarmułkę na znak przyjaźni i zaufania, jak dziki człowiek na widok drugiego bierze do ust gałązkę oliwną.

Pocztylion zatrzymał konie.

— Góra była serdeczna, proszę pana — rzekł zwracając się do podróżnego — trzeba koniom chwilę dać wytchnąć.

— Nie nie nam przeciw temu — odparł podróżny — jeżeli z kozła zeskoczysz i u tego siwobrodego patryarchy kieliszkiem wódki się uraczysz.

Pocztylion rzucił lejce na ziemię, bo koniom swoim niemniej ufał, jak siwobrodemu Abrahamowi, i zbliżył się do progu karczmy.

Abraham tymczasem już był przy wózku. Obejrzał wszystkie koła, aby z ziemi znajdującej się między sprychami poznać, jaką drogą one przyszły; przypatrywał się dobrze młodemu podróżnemu, porównał jego jasną brodę z brodą pewnego człowieka, którego niedawno w tych górach za jakieś przekroczenie schwytano; potem przeszedł do pomiętej czapki prawdopodobnie służącego, który siedział na kozle.

— Zdaleka? — rzekł podnosząc jeszcze raz jarmułkę na znak, że mówi jako przyjaciel.

— Zdaleka — odpowiedział siedzący na kozle i umilkł zachmurzywszy czoło.

— A daleko? — podjął znowu ciekawy arendarz.

— Daleko — była znowu krótka odpowiedź.

Abraham pokręcił pejsy. Twarz jego wyrażała niezadowolony. Nie wiedzieć tylko, czy niezadowolonym był z odpowiedzi, czy z podróżnych.

— Płacę za wódkę dla pocztyliona — ozwał się po chwili jasnowłosy podróżny.

— Ny, to bagatela, cztery krajcary; może służyć miodem, dobrym miodem?

Jasnowłosy ruszył głową.

— Ot, lepiej daj mi ognia, panie arendarzu! — rzekł siedzący na kozle dobywszy fajkę.

Abraham spojrzął z uwagą na niego. Tak powściągliwych ludzi nie zdarzyło mu się widzieć. Nie chcą ani mówić wiele, ani miódka skosztować, ani nawet do karczmy wstąpić.

Jakaś myśl lepsza przybiegła do czoła Abrahama.

— Tu się nie zapali — odpowiedział siedzącemu na kozle — trzeba, abyście poszli do karczmy.

— Idź — ozwał się jasnowłosy podróżny — zapalę i ja sygaro.

Towarzysz kozłowy uczynił zadość życzeniu swego pana i za chwilę był w karczmie obok olbrzymiego ogniska, z którego opalonym ożogiem wysuwał mu na kraj komina węgle uczynny Abraham i własnoręcznie na fajkę nagartywał.

Za tak prawdziwie samarytańską usługę zażądał Abraham nagrody od podróżnego, a tą nagrodą miały być odpowiedzi na niektóre jego zapytania.

Kozłowy podróżny był teraz jakoś w lepszym humorze. Nie tylko że sekretnym intencyom Abrahama zupełnie odpowiedział, ale nawet dodał ze swojej strony, że jest ekonomem owego jasnowłosego towarzysza, który właśnie jedzie dla objęcia folwarku, jaki mu w spadku po jednym z krewnych przypadł. O swoim panu także mu coś powiedział, i widać było, że obaj byli z siebie zadowoleni.

Za kilka chwil byli już wszyscy przy bryczce. Pocztylion pochwylił lejce, Abraham podał mu batóg i odwinął zakrecony postrónek, a jasnowłosy podróżny zapaliwszy sygaro zawołał:

— No, Mirski, siadaj na kozieł, bo jeszcze kawał drogi przed nami!

— Zaraz, wielmożny panie! — odpowiedział towarzysz kozłowy, i jednym skokiem był już na swoim miejscu.

— Szczęśliwej drogi, *Herr Graf!* — rzekł z ukrytym uśmiechem Abraham, dając do zrozumienia, że już wie, kto jest podróżny jasnowłosy.

Podróżny spojrział na żyda nieco zadziwiony, ale pocztylion trzasnął tymczasem z bata, a wózek potoczył się szybko po kamienistej drodze.

Zdaje się, że Abraham porzucił marzenie o konsensie na wódki słodzone, bo z należyтым spokojem wrócił do karczmy, aby dalej spiewać lamentacje wieszczki hebrajskiej nad upadkiem ojczyzyny Syonu...

— Czy mówiłeś co z żydem? — zapytał po chwili podróżny siedzącego na kozle towarzysza.

— Powiedziałem mu, wielmożny panie, to i owo — odpowiedział tenże — bo był bardzo ciekawy. Niezaspokojona ciekawość jest gorszą od kilku słów.

— Masz słuszność!.. Pocztylionie, nie żałuj bata!

Wózek z strasznym turkotem potoczył się szybko. W głębokim milczeniu jechali podróżni dalej. Zresztą turkot wózka nie pozwalał rozmawiać. Stokrotne echo odbijało się od gór i skał pobliskich, do czego mieszał się szum potoka spadającego ze skały na skałę.

Za godzinę zadyszane konie stanęły na najwyższym szczycie góry, z kąd rozległy widok otworzył się na całą dolinę. Jasnowłosy podróżny chciał właśnie coś pocztylionowi powiedzieć, gdy nagle urwał się postrónek.

Pocztylion naklął arendarzowi z białej karczmy, który złą ręką wódkę mu nalewał, zatrzymał konie i wziął się do naprawy.

Tymczasem podróżny i towarzysz jego z kozła zeskokczyli z bryczki, aby dalej iść piechotą, zanim pocztylion postronki nawiąże.

Zrazu szli w milczeniu. Jasnowłosy podróżny szedł naprzód, a towarzysz jego kilka kroków za nim, jak zwykle służący za panem.

Gdy jednak pocztylion z oczu stracili, zrównali się, jakby byli sobie równi, i w milczeniu czas niejaki na przepyszny krajobraz patrzali.

Obraz był rzeczywiście uroczy. Z zapadłej głęboko doliny podnosiły się pochyłe ściany, malowniczym światłem oświetlone. Na tych ścianach rysowały się dwory i zagrody, cerkwie i kościołki, jakby na płótnie olbrzymiem. Zdawało się na pozór, że to tylko martwe było malowidło, ale bystrzejsze oko mogło dojrzeć ruszające się czarne punkciki, które mieszały się ustawicznie jakby w jakim olbrzymiem mrowisku. Był to lud pracujący na polach, były to wózki ciągnące po dalekich drożynach.

Jasnowłosy podróżny usiadł na kamieniu. Towarzysz jego oparł się o drzewo.

— Coś posmutniałeś! — ozwał się jasnowłosy.

— Nie jest to uczucie smutku, kochany bracie — odpowiedział zapytany z niespodzianą poufałością — ale uczucie, któremu nazwiska dać nie umiem. Być może, że to bojaźń przed zbliżającym się kresem marzeń moich, którym tyle życia mego poświęciłem, że z niego prawie już nic nie zostało.

— Oby tylko marzenia nasze...

— Nie domawiaj, drogi Edmudzie, słów smutnych i złowieszczych, któremi przerywasz najświetniejsze moje marzenia! Tak nie godzi się robić. Optymizm nie jest zawsze dobry w robotach społeczeństwa, ale pesymizm zabija. Pesymizm jestto paraliż ducha, który już niczego nigdy nie dokaże. Jeżeli w jakiej bądź sprawie znajdziesz ludzi pesymistów, to bądź pewnym, że ci ludzie w gruncie duszy są nieprzyjaciółmi tej sprawy. Pesymizm jest często tylko zgrabnie ukrytym antagonizmem.

— Przecież o taki antagonizm nie będziesz mnie pomawiał?

— Uchowaj Boże! Dałeś tego dowody, aby o podobne rzeczy ciebie nie posądzać.

Milczenie zapanowało chwil kilka.

Po jakimś czasie westchnął szpakowaty towarzysz, pierś jego szeroka podniosła się wysoko, wypukłe oko zapaliło się jasnym ogniem.

— Patrz Edmudzie — rzekł do jasnowłosego — patrz na te rozległe doliny, na te ściany zielone, narzucone dworkami i osadami wiejskimi... i wyobraź sobie, jak to onego dnia wyglądać będzie!.. Odczuwam w duszy ten przysły obraz! Słyszę najprzód głuchy szum, przeciągający po tych dolinach, odbijający się echem od tych ścian granitowych. Szum ten jest podobny do szumu wód podziemnych, lub bałwanów oceanu, gdy ma sroga nastąpić burza... Szum ten staje się wyraźniejszym z każdą chwilą, coś mówi, coś podaje z chaty do chaty, a gdzie wejdzie pod dach, tam zabiera z sobą wszystkich mieszkańców i gromadzi ich zwolna w tłumy niezliczone! Widzę wszystkie drogi i drożynki pokryte temi tłumami, słyszę głuchy

szmer ich rozmowy, słyszę gwar, jakby gwar wędrowni narodów.

— Zbyt idealne masz obrazy przed oczyma.

— Bo w tej chwili patrzę na nie z góry, z najwyższego szczytu marzeń moich!.. Gdy się z tej góry spuścimy, gdy ręką dotknę się tych ścian granitowych i ludzi, co koczowiska swoje na nich zawiesili, wtedy wierzaj mi, będę realniejszym.

— Wiem, że jak potrzeba, umiesz nim być... Ot i pocztalion nasz się zbliża.

Starszy towarzysz czempredzej zajął względem jasnowłosego stanowisko podrzędne.

Tymczasem podjechał wózek i zabrał obu.

Teraz jazda szła rażno. Wózek toczył się z góry, jak kamień wypuszczony z procy. Koła podskakiwały do góry i każdym razem groziły, że pękną.

Podróźni nie zważali na to wcale. Młodszy i starszy zapadli jakoś w głębokie milczenie. Nawet czarowny widok doliny nie zbudził ich. Dopiero nad szumiącym potokiem, który w bród trzeba było przebyć, ocknęli się.

— Jesteśmy u celu — zawołał jasnowłosy. — Patrz Mirski, ten szary domek z przełamanym dachem i porozwalanymi kominami, to moje dziedzictwo.

Zagadniony sługa spojrział na wskazany domek, ale panu swemu nic nie odpowiedział. Pocztalion tylko uśmiechnął się, a wskazując na wystające z poza góry sąsiedniej jakieś mury okazałe z basztą i wieżyczką, rzekł do jasnowłosego podróżnego:

— Już jabym wołał ten domek garbaty, niżeli ten pałac zaklęty, w którym nieczysty duch mieszka.

— A któż ci to powiedział? — zapytał tenże z uśmiechem.

— Kto mi powiedział? Alboż to pocztalion Wojciech nie służył tam przez kilka tygodni? On to opowiadał mi, że widział na własne oczy... w imię Ojca, Syna i Ducha świętego...

— Co widział?

— Widział, jak hrabia... z diabłem rozmawiał!

— Z diabłem rozmawiał?

— Z malowanym diabłem!

— Nie z żywym?

— Z żywym człowiekiem rozmawiać nie może, bo za pierwszym słowem staje się nieboszczykiem.

Jasnowłosy podróżny rozśmiał się.

Za chwilę zaszło słońce. Bładoróżowy odbłask chmury przyświecał słabo, gdy wózek do dworku z przełamanym dachem zajechał.

Ozwało się szczekanie psów.

— Rozbój do nogi! Zabój do nogi! — ochryplym głosem zawołał chłop sążnisty, który z płonącym kagańcem wyszedł na próg sieni.

— Jest tam kto? — zawołał nowy dziedzic.

— Albo co? — zapytał butnie drągal.

— Dziedzic przyjechał! — odparł siedzący na koźle Mirski.

— Dziedzic? — powtórzył ochryplym głosem olbrzym — o Jezu Panie! Gwałtu, dziedzic przyjechał! Słyszysz Nastka, dziedzic przyjechał! Bodajbyś.. przepraszam jaśnie pana, babsko narobiło się dzisiaj cały dzień. Skorom się dowiedział od księdza proboszcza, że wielmożny pan dzisiaj przyjedzie, kazałem babie kilka izb odprzątnąć... ale to z babami trudna rada... Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Olbrzym przystąpił do wózka i schylił się do kolan nowego dziedzica.

— Zaprowadźcie mnie do jakiejś izby, — rzekł nowy dziedzic do olbrzyma.

— Zaraz, zaraz, wielmożny panie — odparł tenże — tylko wprzód pójde powypędać sowy i nietoperze, bo tego moc naleciała przez otwarte okna.

Rzekłszy to wszedł do sieni, a za chwilę słychać było szum wylatujących z okien nietoperzy.

Ponieważ pocztalion w tej chwili do koni się oddalił, rzekł nowy dziedzic półgłosem do swego towarzysza:

— Słyszysz, jak mnie w dziedzictwie mojem witają sowy i puhaćce? Potomek senatorów i wojewodów wjeżdża do włości swoich, a zamiast poddanych odświetnie wystrojonych, z chlebem i z solą, wita go szatański śmiech i pisk plugawego ptactwa!..

— Dawny splendor zużył się i przepadł — odparł towarzysz — trzeba sobie zarobić na nowy... a jesteś już na drodze do tego.

— Nim to nastąpi, trzeba jutro odwiedzić najbliższego sąsiada i krewnego w owym pałacu, o którym pocztalion utrzymuje, że żyje w zażyłości z malowanym diabłem. Historia tego malowanego diabła musi być bardzo ciekawa, jak wszystko, co lud wymyśli.

Gdy nowy dziedzic te słowa wymawiał, miał na ustach jakiś uśmiech nieokreślony, który przy świetle stojącego na progu kagańca przybierał wyraz coraz dziwniejszy.

Towarzysz dziedzica skrzywił się na ten uśmiech dziwny i odparł szorstko:

— Lud na pewnym gruncie buduje wszystkie swoje historie, a nawet i o malowanych diablach, tylko trzeba umieć go zrozumieć.

— Obaczmy jutro — odrzekł nowy dziedzic, i szybko zeskoczył z wózka.

Tymczasem owa Nastka, o której olbrzym nie zbyt pochlebnie się wyraził, zapaliła świecę, za ostatnim nietoperzem zamknęła okna i nowemu dziedzicowi drzwi z wielką uniżonością otworzyła.

Migające światło z tombakowego świecznika oświeciło nowemu właścicielowi cztery puste prawie kąty dużej, wa-

pnem wybielonej izby. W atmosferze tej izby czuć było wilgoć i woń nieprzyjemną stęchlizny.

Nowy dziedzic obrócił się z jakimś ironicznym uśmiechem do swego towarzysza, i właśnie coś dowcipnego chciał mu powiedzieć, ale widząc go w sieni stojącego z unio-nością sługi pomiędzy olbrzymem a Nastką jego, cofnął słowo, które miał w ustach, i do białych ścian się obrócił.

Białe ściany były prawie nagie. Prócz stłuczonego zwierciadła w czerwonych, niezgrabnie mahon' naśladowających ramach, prócz kilku małych na szkłe malowanych obrazków, zupełnie potłuczonych, nic więcej nie było.

— Czy tu tak zawsze było? — zapytał olbrzyma, który niespokojnym okiem śledził ruchy nowego dziedzica.

— Tak, proszę wielmożnego pana, bo tutaj zawsze tylko ekonom mieszkał. Św. p. hrabina nigdy tu nie była.

Spadkobierca św. p. hrabiny poświęcił w milczeniu kilka chwil wspomnieniu zacnej niewiasty, która o nim pamiętała, choć był jej krewnym dosyć dalekim. Potem wziął tombakowy świecznik i udał się z nim do drugiego pokoju.

Zaledwie dwa kroki uczynił, gdy nagle ręka ze świecznikiem zdrząła mu mimowolnie.

Wstrzymał się i z jakąś trwogą nieokreśloną spojrzął przed siebie.

Przed nim rozciągała się próżna, półciemna przestrzeń. Światło migające świecy oświecało słabo tę przestrzeń, a grube cienie wybiegały z kątów izby i walczyły z tem światłem niedołężnem.

Z głębi wprost naprzeciw wychylała się do niego jakaś postać, i szeroko otwartymi oczyma patrzyła na niego.

Złudzenie było dziwne. Zdawało mu się, że tam gdzieś na ścianie wisi duże zwierciadło, i że swoje postać widzi w tem zwierciadle.

Ruszył się, aby to sprawdzić, czego się domyślał. Postać jego z naprzeciwka nie ruszyła się. Nie było to więc odbicie w zwierciadle. Cóżby to być mogło?

Zmęczony całodzienną podróżą na wózku pocztowym, rozdrażniony różnemi myślami, które go w podróży tej zajmowały, nie mógł sobie naprędce zdać sprawy z tego, co przed sobą widział. A przecież postać, którą widział przed sobą, była do niego podobną, coraz więcej podobną, im więcej w nią się wpatrywał.

Rozśmiał się w duchu sam z siebie, że nad sobą panować nie może, i śmiało kilka kroków naprzód postąpił.

Teraz zobaczył duży obraz wiszący na ścianie.

Obraz ten, jakkolwiek tylko naszkicowany, był jednak jego portretem.

— Tam do kata! — wyrzekł do siebie półgłosem — jeżeli w sąsiednim pałacu mieszka diabeł malowany, to tu mieszka diabeł malujący!... Grzegorz!

Olbrzymi karbownik zjawił się na progu.

— Czyj ten obraz? — zapytał dziedzic.

— Nie wiem, wielmożny panie! — odpowiedział zdziwiony olbrzym — a prawdę powiedziawszy, poraz pierwszy go widzę i nie wiem nawet, z kąd się tu wziął. Może moja baba z kąd go wyciągnęła.

— A któż tu mieszkał w ostatnich czasach?

— Proszę wielmożnego pana, tu nikt nie mieszkał, tylko Burski, co to jest niby ekonomem u hrabiego w pałacu. Było to jeszcze przed śmiercią jaśnie pani hrabiny, gdy ten folwark był w dzierzawie pana Alberta.

Nowy dziedzic pomyślał chwilę nad tem, co słyszał od karbowego. Zdawało mu się, że rzecz całą wyjaśnił. Przypomniał sobie, że nieboszczka hrabina posiadała jego miniaturę. Prawdopodobnie więc kazała jakiemuś wędrownemu malarzowi powiększyć ją i na płótnie wymalować. Zdaje się, że malarz nie sprostował zadaniu i na szkicu poprzestał.

Po takim wyjaśnieniu mniemanej diabelskiej sprawy wrócił do pierwszego pokoju, odkładając dalszy przegląd na jutro.

Tymczasem powydawał potrzebne na dzisiaj rozkazy. Najprzód kazał na kominku dla oczyszczenia powietrza ogień rozniecić; potem polecił ekonomowi, którego przywiozł z sobą, dać jaką wygodną izdebkę, a nakoniec zdał sobie i ekonomu na łaskę Nastki, zostawiając jej do woli wybór wieczery.

Wybór był łatwy i krótki, lecz głodnego dziedzica dosyć zadowolnił. A gdy nowy ekonom po wyjściu Nastki i karbowego jeszcze przy progu się zatrzymał, rzekł nowy dziedzic z miną wesołą:

— A co, czyśmy nie demokraci? Ręczę ci, że i Robespierre gorzej nie jadał! Zamiast serwety, oblizaliśmy sobie palce po jajecznicę; a gdybym przypadkiem na dnie faszki nie miał koniaku trochę, byłibyśmy wodą kryniczną popłukali zęby, jak ongi patryarchowie w ziemi obiecanej!.. A teraz również jak patryarchowie na rozesłaną słomę owianą położymy się dla odpoczynku, z którego zamiast dzwonów z Nôtre dame, zbudzi nas kogut folwarczny, jedyny niezawodny zegar całego folwarku. Życie prawdziwie arkadyjskie! Szkoda, że człowiek wymyślił sobie tyle potrzeb niedorzecznych, jakby chciał być największym swoim nieprzyjacielem.

— Ludzie zbliżą się kiedyś do potrzeb pierwotnego człowieka, jakim go Bóg stworzył — odpowiedział towarzysz — ale nim to nastąpi, musi ludzkość jeszcze wiele głupstw zrobić i na zmazanie tych głupstw wiele, bardzo wiele krwi wytoczyć...

— Nim to nastąpi, spij smacznie ministże agrykultury mojej, a ja tymczasem śnić będę o różnych rzeczach, o których wiesz i nie wiesz, np. o malowanym diable czci- godnego mego kuzyna, o którym jakieś szpetne wyobrażenie miał nasz pocztylion.

Gdy wszechwładny minister agrykultury był już za

drzwiami, nowokreowany król folwarku górskiego rzucił się na siennik, aby, jak powiedział, śnić o diable malowanym, który ma mieszkać w sąsiedztwie.

I dotrzymał słowa.

Zaledwie bowiem oczy mu się skleiły, wystrzelili z pod ziemi arcyzgrabny diabełek i zaczął mu różne psoty wyprawiać. Skakał, kurczył się i rozciągał, jakby był z gutaperki, i przewracał koziółki nader figlarnie.

Rzecz dziwna, że ten miły diabełek, mimo męskiego stroju, zdawał się być kobietą. Twarz, usta, oczy, uśmiech zalotny, wszystko to było kobiece. Na pięknym czole, zamiast zwykłych rogów, wytryskały dwa skręcone słupki promieni.

Nic dziwnego. Na obrazie, przedstawiającym pokusę św. Antoniego, widzieli wszyscy Francuzi w Paryżu kuszącego diabła w postaci bardzo pięknej kobiety. Dlaczegożby i diabełek dzisiejszy nie miał być kobietą?

Tak myślał sobie nowy dziedzic, gdy kogut folwarczny dał hasło, „aby wszyscy do pracy wstawali.

Pierwszy, który koguta usłuchał, był wszechwładny minister agrykultury. Za nim poszła reszta służby, a w końcu i sam dziedzic, choćby tylko dla przykładu, podniósł się z siennika, biorąc rozbrat z pięknym diabełkiem.

Dzień był piękny, pogodny. A gdy nowy dziedzic przez okno na świat wyjrzał, obaczył połamane mury swego pałacowego sąsiada i przypomniał sobie znowu o diable malowanym i o tym, o którym tak rokosznie śnił dzisiejszej nocy.

Dzisiaj muszę tam być! — pomyślał sobie, i przy tej myśli doznał jakiegoś dziwnego wzruszenia.

Wzruszenie było nieokreślone. Nie można było powiedzieć, czy było przyjemne czy nieprzyjemne, było jednak głębokie i silne, jakie bywa zazwyczaj na każdym ważniejszym progu życia.

C. d. n.

## List ś. p. Adama Pajgerta\*).

Z ziemi ojczystej, z ziemi pól szerokich,  
Zielonych mogił i łąków złocistych;  
Z ziemi dusz prostych ale serc wysokich,  
Z ziemi poświęceń krawych ale czystych,  
Od której zdala żyjąc już ćwierć wieka,  
Powtarzasz smętnie: kochana! daleka!

Kiedy z tej ziemi do Ciebie doleci  
Pieśń moja cicha, o wieszczu! tułaczu!  
Pieśń\*wydźwięczona wśród ojczystych kwieci,  
Skąpiana w rosie ojczystego płaczu,  
Niechaj woń świeżą polskich łąk kobierca  
I cześć polskiego poniesie ci serca.

Wiem ja, że sercem Tyś przyjąć ją gotów,  
Duszą ku Polsce pałający wszystek,  
Jakbyś pochwycił z napowietrznych lotów  
I do Twej piersi zwiędły tulił listek,  
Z polskiego drzewa opadły i gnany  
Jesiennym wiatrem nad brzegi Sekwany.

O! ziemia nasza to ziemia boleści,  
To żałobnica z liliowem czołem,

I lat niewoli już dwakroć czterdzieści  
Po niej przewalił czas swem ciężkiem kołem:  
To snadź nad inne ona Bogu miła,  
Gdy jak na świętą na nią próby zsyła.

Snadź ona święta, kiedy tym, co cierpią  
Za nią i dla niej, tak się czyści dusza,  
Taką otuchę w swej miłości czerpią,  
Że już ich hartu żadna moc nie skrusza,  
I chytrych wrogów pokusa i męka  
O pierś ich mężną jak o skałę pęka.

A jak nad grodem zdobytym przez wroga,  
Z jedynej baszty, co trzyma się jeszcze,  
Wieje chorągwią nietrwożna załoga: —  
Tak nad narodem, o tułactwa wieszczu!  
Z waszej warowni ku niebu się wzbija  
Błyszczący sztandar: Polska Poezya.

O cni rycerze! o wy i kapłani!  
Kiedy nam dusza już bólu nie mieści,  
Kiedy zajęczym zwątpieniem targani: —  
Wy tak anielskie znosicie nam wieści,

Mając udzielony sobie uprzejmie list ś. p. Adama Pajgerta, nieodżałowanej świeżej straty, pisany do jednego z poetów przebywających we Francji, spieszymy, upoważnieni do tego, udzielić go naszym czytelnikom. Znajdą oni w tym utworze głębokie uczucie, wzniosłe myśli, ogień ducha, cechujące ten znakomity talent, i będą nam wdzięczni, nie wątpimy o tem, za to nowe potrącenie serc ich dźwiękami tej lutni, która tak czysto, tak silnie grała im do niedawna jeszcze, a dziś niestety! zamilkła już na zawsze. List ten nosi datę 20. sierpnia 1855 r. Ogłaszamy go w jego ustępach poetycznych.

P. R.

Że na bój znowu idziem pełni męstwa,  
Wierzący Bogu i pewni zwycięstwa.

A kto się wpatrzy w ten wasz sztandar jasny,  
Kto się w harmonią waszych pieśni wsłucha,  
Temu tak w piersi rozwidni się własnej,  
Że na męczeństwo już mu starczy ducha,  
Bo rozmiłowan ujrzy Polskę w chwale,  
Przez przyszyłych wieków noszącą się fale.

I oto mistrzu! coś słowem i czynem  
Walczył przy szabel i przy luteń dźwięku,  
I choć Ci włos już zbieleł pod wawrzynem,  
Dotąd Twój sztandar w silnem dzierzysz ręku,  
Zanim w rycerskie puszczyć się zawody,  
Staję przed Tobą, polski pieśniarz młody.

O pobłogosław! bo mam czyste chęci,  
Bo ja na własny ból się nie poskarzę,  
Bo mnie nie sława lecz zasługa nęci,  
Że, jak wy, chciałbym stanąć przy sztandarze  
I tam iść przodem, gdzie niebezpieczeństwo;  
Toż jak synowi daj błogosławieństwo.

O pobłogosław mojej młodej lutni!  
Niechaj wydzwięcza to, czem bije serce,  
Niech brzmi pociechą, kędy płaczą smutni,  
Niech huczy gromem, kędy przyniewierce,  
I jak dźwięk cichy, ledwie dosłyszalny,  
Spływa w narodu wielki hymn choralny.

O pobłogosław! ażeby nie zgaśło  
Od burz podmuchu boże światło we mnie:  
Wiara i wolność! to zbawienia hasło,

Niech jak latarnia mnie wiedzie przez ciemnie,  
Abym we walce ze zastępem nocy  
Piekielnych duchów nie złąknął się mocy.

O pobłogosław! niech w boju tym stanę  
Jako ów żołnierz, co chorągiew trzyma,  
I choć śmiertelną już odebrał ranę,  
Padając jeszcze ze mgłą nad oczyma,  
Nim się krwi krople ostatnie uronią,  
Wznosi swój sztandar konającą dłońią.

O pobłogosław mi! wołam raz jeszcze, ażebym  
w dziedzinie ducha choć jedno rzucił ziarno niemarne;  
a kiedy poeci i myśliciele idąc drogami Bożemi narody ku  
światłu prowadzą, ażeby mi się spełniło to, czego jedynie  
pragnę dla siebie, o com się modlił śpiewając niegdyś  
zimowym wieczorem przy ogniu kominka i porównując do  
tego ogniska dusze poetów:

Aniele światła! i u mnie w głowie  
Gorące myśli się żarzą;  
Czasem się w tęsknem wyszeptą słowie,  
Czasem się jękiem poskarżają.

Natchnij mię, natchnij świętym zapałem!  
I żary rozdmuchaj liche,  
Niechaj się w zgliszczu przepalę ciałem,  
Lecz jak ognisko to ciche

Niech moich uczuć, myśli mych wątek  
W ofiarny płomień się wieje!  
Niech jaki ciemny rozjaśnię kątek,  
Pierś jaką zziębłą ogrzeję!

## Rola, którą odgrywają niewidzialne organizmy zwierzęce na ziemi.

Wyobraźnię naszą jednakowo przygnębia i nieskończoność przyrody w lazurowych nurtach nieba, na którym jak pyłek złoty błyszczą gwiazdy, i bezgraniczność jej w każdym żyjątku, które ukrywa przed oczami naszymi cuda swej organizacji.

Dzięki drobnowidzowi od niedawna dopiero dowiedzieliśmy się o ogromnej ilości niewidzialnych organizmów, o nieznanym dla przodków naszych rozwoju roślinnego i zwierzęcego życia we wszystkim, co nas otacza.

Gnicie, butwienie i fermentacja, są to kwestye ściśle związane z higieną i niesłychanie ważne w życiu, a o

przyczynach, wywołujących te procesa, dowiedziano się jeszcze bardzo niedawno. Gnicie jest to rozkład materij organicznych, którego rezultatem jest wytwarzanie się różnych nieprzyjemnej woni gazów (siarkowodoru, siarku amonu, amoniaku itp.). W butwieniu wszystkie te produkta utleniają się kosztem tlenu zawierającego się w powietrzu, to jest palą się powolnie, bo palenie się ciał jest utlenieniem się ich składowych części.

Dawniej myślano, że jakaś nieznaną siłą spowodowywa gnicie materij organicznych. Dziś już wiemy, iż przyczyną gnicia są ciała należące do najniższych orga-

nizmów, stojących na granicy roślinnego i zwierzęcego świata, które przez rozwój swój i życiową czynność wywołują ten proces. Te niższe organizmy karmią się elementami, z których wspomniane substancje chemiczne się

ową formę stosownie do gruntu, na jaki natrafi. Pleśń na sferze, chlebie, maśle i kwaśnym mleku, pleśń rozwijająca się przy zamianie alkoholu na ocet itp., jest jedna i taż sama, lecz forma jej odpowiada tym warunkom, w których



Kazanie X. Marka (rys. Juliusza Kossaka).

składają, przezco naruszają się związki, a wytwarzają się inne, nazwane gniciem.

Wszystkie organizmy, rozwijające się w ciałach gniących, powstają z pleśni niebiesko-zielonawego koloru, nazwanej *Penicillium glaucum*, która przyjmuje tę lub

żyć i rozwijać się musi. *Penicillium glaucum* dostawczy się do organizmu ludzkiego, rozwija się w sposób jeszcze bardziej rozmaity i jest powodem najprzeróżniejszych chorób: choleryny, cholery, różnych wysypek, zarazy mоровej, karbunkułu czyli zarazy syberyjskiej. Uczony Hallier



wydobywał z wyrzutów cholerycznych grzybki, uprawiał w odpowiednich warunkach, i przekonał wszystkich, że one rozwijają się w formę penicillium.

O tych grzybkach, ich formie i rozwoju powiemy na innym miejscu. Wspomnieliśmy o nich najprzód z powodu panującej epidemii, a następnie, żeby pokazać, jak olbrzymią pracę wykonują organizmy, zaliczane do rządu roślin. Dziś zajmujemy się wymoczkami, czyli infuzoryami, to jest organizmami świata zwierzęcego, których czynność zbiorowa w naturze przeraża ogromem swoim.

Nie zważając na nadzwyczajną małość drobnowidzowych żyjątek, przyroda otoczyła je całą siłą i przezornością swej matczynej opieki. Przy badaniu organizmów wymoczków można się przekonać, jak cudownie są utworzone te drobne istotki, jak w nich odbywa się ruch pokarmów i krążenie krwi, jak przyroda okrywszy niektóre wapiennymi i krzemionkowymi skorupkami lub pancerzami, chroni je od zniszczenia. Szczególnie badaczka uderza niezwykła wielkość serca wymoczków i ich niepojęta ruchliwość. Serce ich, w porównaniu z sercem większych zwierząt, jest większe i silniejsze przynajmniej pięćdziesiąt razy, niż serce wołu lub konia. Ruchliwość zaś wymoczków jest prawdziwie niepojętą; podczas gdy istnienie wszystkich zwierząt składa się z czynnego życia i z odpoczynku, to jest ruchu, który zużywa siły, i spokoju, w którym siły wracają:—wymoczki przedstawiają symbol wiecznego ruchu. Ehrenberg, ten książę nauki o wymoczkach, badając w różnych godzinach nocy, znajdował je zawsze w ruchu i nigdy nie widział odpoczywających.

W miarę, jak się rozwija praca badaczy, widnokrąg życia rozszerza się w nieskończoność, i świat drobnowidzowy, pełny swego czynnego życia, odkrywa się wszędzie, gdzie tylko badania przeniknąć zdołały. Lodowe oceany, najwyższe granice atmosfery i najciemniejsze głębie wód okazały się napełnionymi żyjącymi istotami, które zachwycają swą dziwną i nieskończoną odmiennością form. Żyjątko drobnowidzowe, dla których wielkości nie znajdujemy pojętej cyfry, posiadają siłę życiową większą, niż najdoskonalsze zwierzęta ziemi. Gdzie ostry klimat zabija najsilniejsze rośliny, gdzie zaledwie kilka gatunków zwierząt istnieć może, tam słaba organizacja wymoczków utrzymuje się bez żadnej zmiany. Kapitan Ross pod 78° szerokości na pływających łodach znalazł około pięćdziesięciu gatunków wymoczków, z krzemionkowymi pancerzami. Niektóre w nich, przez znakomitego marynarza zebrane na brzegach Wiktoryi, mimo ogromnej przestrzeni i burz, które statkiem miotały, przybyły żywe do Berlina.

Przepaście morskie w tych smutnych okolicach wiecznych lodów przedstawiają jeszcze więcej ożywienia, niż ich powierzchnia. W zatoce Erebu, sonda rzucona na głębinię 500 metrów, wyciągnęła 70 gatunków wymoczków, pokrytych krzemionkowymi pancerzami. Te żyjątko znale-

ziono nawet na głębini 12 tysięcy stóp, gdzie znosiły straszne ciśnienie wody, dochodzące do 375 atmosfer.

Ci, co podróżowali po morzu, znają zjawisko fosforescencji, która długi czas była nieobjaśnioną dla uczonych. Dziś wiemy, że zjawisko to pochodzi z wielu przyczyn; czasami powodem jej są błyszczące ryby, stadami pływające po morzu; czasami meduzy spokojnie niosące się po falach, ciągnąc na sobą rozczuchrane swe ramiona pokryte gwiazdkami, jak kosa Bereniki na firmamencie nieba; lecz najczęściej zjawisko to dostrzega się na miejscach, na których morze zostaje w nieustannym ruchu. Każda fala błyszczącą pianą rozpryska się o boki okrętu, i morze świeci, jak gwiazdziste niebo; miryady punkcików oświecających morze są to wymoczki tak małe, że gołym okiem dostrzedz ich niepodobna. Ocean cały wszędzie prawie zawiera te żyjątko. Każda warstwa jego napełniona niemi od powierzchni aż do głęb, które przechodzą wysokość najwyższych gór na ziemi. Pod wpływem pewnych, nieznanych nam okoliczności meteorologicznych podejmują się one na powierzchnię wód i tworzą błyszczące drogi za okrętami.

W innych miejscach woda przybiera kolor purpurowy, bo w niej także, pod wpływem nieznanych okoliczności, rozwijają się niezwykle prędko różne wymoczki tego koloru. Morrin, uczone belgijczyk, który zebrał wszystko, co pisano o Czerwonym morzu od Mojżesza do naszych czasów, naliczył 22 gatunki wymoczków i prawie tyleż roślinek, nadających czasami wodzie kolor czerwony, któremu imię swoje zawdzięcza zatoka Arabska.

Woda jednak nie jest jedynym miejscem pobytu drobnowidzowych żyjątek. Znajdują się na ziemi takie ogromne zbiory wymoczków, że zastraszają najbujniejszą wyobraźnię. Niektóre gatunki tak małe, że nie przenoszą 0,001 części millimetra, tworzą w pewnych wilgotnych miejscach pod powierzchnią ziemi żyjące i ruszające się warstwy, które mają niekiedy wiele metrów grubości. W północnej Ameryce odkryto ławę wymoczków na 20 stóp, a w Lüneburgu na 40 stóp grubości. Część Berlina, Karlstrasse, zbudowana na podobnej ławie, mającej 120 st. grubości. Odkrycie to zdaje się być rzeczą zupełnie nieprawdopodobną, bo 10 tysięcy takich żyjątek zajmie nie więcej, jak przestrzeń jednego cala, a 1.11,150,000 sztuk zaledwie waży gram jeden; a przecież to prawda, bo ziemia w tych miejscach jest ruchomą, i domy na niej budowane muszą mieć bardzo głębokie fundamenta, żeby osłonić je od obsunięcia się lub upadku, jak się to nieraz zdarzało.

Mimo nieprawdopodobieństwa bardzo jest łatwo objaśnić utworzenie się takich ogromnych zbiorów wymoczków, wiedząc tylko, że się one mnożą przez dzielenie na dwie części z nadzwyczajną prędkością. Według Ehrenberga jeden wymoczek, o którym tu mowa, w 23 godzinach może wydać milionowe pokolenie, które we cztery dni

da 140 bilionów wymoczków, to jest około dwóch sześciennych stóp gruntu, na którym stoi Karlstrasse.

Inne zjawisko, które nieraz uderzało podróżujących po wysokich górach, jest śnieg krwawy. Zjawisko to znane starożytnym, pochodzi także z drobnowidzowych żyłatek, a co dziwniejsza, że jedne i te same wymoczki (*Disceraca nivalis*) okraszają śnieg purpurowym kolorem nie tylko na szczytach lodowych Alp, ale i w okolicach podbiegunowych.

Drobnowidzowe żyłatka znajdują się nawet tam, gdzie najmniej można było spodziewać się je spotkać. Kto bowiem mógłby się domyśleć, że ta przezroczysta atmosfera, która nas otacza, jest napełniona niewidomymi organizmami żywymi i zmarłymi, które wiatr przynosi przez ogromne przestrzenie. W pewnych okolicznościach ilość ich bywa tak wielką, że zaciemniają powietrze i utrudniają oddech podróżnych. Badając bardzo delikatny pyłek, który mgłą otoczył okręty na 380 mil od brzegu Afryki, Ehrenberg odkrył osiemnaście gatunków wymoczków z krzemionkowymi pancerzami.

Świat drobnowidzowy napełnia nie tylko wodę, powietrze i ziemię, lecz znajduje się w pełnym rozwoju także wewnątrz ludzi i zwierząt. Żaden z przyrządów najgłębiej położonych nie może ich się ustrzedz. Nietylko otwory komunikujące się z powietrzem są napełnione wymoczkami, lecz nawet organa zupełnie zamknięte. Krew przebiegając po żyłach i tętnicach zewsząd zakrytych, niekiedy zawiera wymoczki spokojnie żyjące między ciałkami krwi, wśród nieustannego ruchu krążenia krwi, która obiega całe ciało więcej niż 2800 razy na dobę. Człowiek zdumą poglądający na wszystko ani sobie wyobraża, jakie liczne kolonie żyłatek toczą jego ciało, karmią się kosztem jego zdrowia. W kiszkiach znajdujemy masy wibrionów, tych węgorzy drobnowidzowych. Gęba napełniona zawsze mnóstwem wymoczków; osad na zębach jest mogiłą ich, bo najczęściej składa się z ich pancerzy wapiennych. Drobnowidzowe robaczki — trychiny, przenikają w mięśnie i pładzą się w nich z taką szybkością, że niekiedy znajdowano po 25 sztuk w wewnętrznych mięśniach ucha. Śmierć nieraz następowała w skutek napadu tych małych nieprzyjaciół.

Drobnowidzowe żyłatka grają wielką rolę nie tylko za życia, ale i po śmierci swojej, jak można się przekonać badając przedpotopową historią ziemi. Chociaż według obrachowania Ehrenberga około miliona tych żyłatek znajduje się w jednym sześciennym calu kredy, pokłady tej ostatniej, utworzone jedynie z pancerzy tych żyłatek, formują całe góry, całe łańcuchy gór wznoszących się na powierzchni naszego planety. Niektóre skały krzemionkowe są także utworzone ze szkieletów *Baccillaryj*, które tak dokładnie przechowały formę żyłatek, że i dziś można je porównać z gatunkami żyjącymi dotychczas. Tak więc skały należące do najdawniejszych epok rozwoju ziemi, skały

tworzące ogromne pokłady są tylko cmentarzami przedpotopowych wymoczków. Myśl nasza gubi się w domysłach, w jakich tajemniczych okolicznościach mogły utworzyć się takie ogromne zebrania trupów. Uczony Schleiden obliczył, że w sześciennym calu tryplu czeskiego, około Billinu, znajduje się do 41 miliardów żyłatek, a ponieważ pokład tego kamienia łupkowego zajmuje około 10 mil kwadratowych, a grubość od 2—15 stóp, jakież być musiało szalone tam życie, żeby utworzyć taką nieobliczoną ilość szkieletów!..

Pewne rodzaje trypli koloru czerwonego są używane do malowania ścian lub do czyszczenia naczyń kuchennych. Kilka lat temu nikomu do głowy nie przychodziło, że ta farba i ten proszek, którym oczyszczamy srebrne i miedziane naczynia, składa się z pancerzy przedpotopowych wymoczków. P. White opisał dwanaście gatunków wymoczków, które znalazł w krzemionce zawierającej się w kredzie. Według Maral'a de Serre sól mająca czasami kolor czerwony jest napełniona wymoczkami tej barwy, które żyły w wodzie w epoce, gdy się ta sól tworzyła. Karneol (kamień) kolor swój zawdzięcza wymoczkom, których szkielety można w nim dopatrzeć za pomocą drobnowidza.

W niektórych krajach brak środków pożywienia zmusza człowieka karmić się rodzajem ziemi, posiadającej warunki pożywności. O tym fakcie było już wiadomo w starożytności, gdyż w hebrajskich księgach znajdujemy wzmiankę, że pewne ziemie w dolinie Hebron są dobre do jedzenia.

Plemię Otomaków, około ujścia Orinoko, w ciągu kilku miesięcy w roku karmi się rodzajem tłustej gliny, której każdy człowiek zjada około półtora funta dziennie. Na rynkach Boliwii sprzedają jadalną glinę razem z innymi produktami. W lasach Karoliny i Florydy jest pokolenie murzynów, którzy stale używają tego pożywienia.

Uderzeni temi opisaniami uczeni zaczęli badać skład różnych jadalnych glin i z wielkim zdumieniem przekonali się, iż niektóre z nich są przepełnione nadzwyczajną ilością zmarłych wymoczków słodkich wód. Tym sposobem objaśniło się, że jadalne ziemie zawdzięczają swe własności zwierzęcym resztkom, i że są to wymoczki, które dostarczają tego przedpotopowego pożywienia człowiekowi.

W niektórych miejscach na ziemi zmiany geologiczne utworzyły tak zwaną mączkę kopalną, składającą się z resztek dawnych żyłatek. W czasie głodu Lapończycy karmią się tym pyłem mineralnym, używając go zamiast mąki do pieczenia chleba. Rezius badał tę mączkę i znalazł, iż się składa z dziewiętnastu gatunków wymoczków. Uczony ten dowiódł, że kopalna mączka, składająca się ze szkieletów drobnowidzowych żyłatek, znajdowana w wielkiej ilości w Szwecji i Finlandyi, zawdzięcza swe pokarmowe własności pewnej ilości organicznej materii,

którą chemiczna analiza wykryła w niej jeszcze teraz po tylu tysiącach lat!

Przyroda w państwie wymoczków wykazuje całą swą twórczą potęgę; wynagradzając dziwnie ogromną płodowością to, co grzeszy brakiem wielkości. Dlatego też resztki drobnowidzowych żyjatek więcej wpłynęły na

ukształcenie kory ziemskiej, niż słonie, nosorożce i wieloryby, których wielkość podziwiamy; bo te ostatnie zostawiły nam niewielką tylko ilość kości, znajdujących gdzie niegdzie, gdy pierwsze utworzyły całe góry, całe przestrzenie, na których stoją wielkie miasta.

Dr. STELLA SAWICKI.

## Wspomnienie o Karolu Szajnosze.

**L**prawej strony głównej alei, zaraz od wejścia na Łyczakowski cmentarz, uderza przechodniów wspaniałością wykonania pomnik grobowy ś. p. Karola Szajnochy, dłuta słynnego rzeźbiarza Filipiego, wystawiony, jak wiadomo, ze składek całego narodu. Na obelisku z białego piaskowca orzeł zadumany siedzi, jakby na straży tego grobu, w którym spoczęły zwłoki męża, co póki Polski stanie, będzie chlubą i zaszczytem naszego piśmiennictwa. W niszy obeliska widzimy z kararyjskiego marmuru wiernie odtworzone oblicze historyka, po obu zaś stronach pomnika dwie postacie, wyobrażające geniusza dziejów i sławy, trzymające tablice z napisami głównych utworów Szajnochy.

Podając w czteroletnią już rocznicę śmierci znakomitego pisarza rycinę przed niewielu miesiącami wystawionego mu pomnika, uważamy za stosowne, choć w kilku słowach przypomnieć jego zasługi.

Nie myślimy powtarzać szczegółów z życia Szajnochy, bo znane one dostatecznie szerszej nawet publiczności tak z różnych wspomnień, skreślonych po śmierci historyka, jako też z podręczników literatury. Dość powiedzieć, że wszystko sobie samemu, własnej krwawej pracy zawdzięczał, że od lat najmłodszych cechował go ten gorący i prawdziwy patriotyzm, który już w r. 1835 siedemnastoletniego akademika zawiódł na 2 lata do Karmelitów i pozbawił prawa korzystania z dobrodziejstw publicznej nauki.

Tak sroga kara spotkała młodzieńca za należenie do tajnego związku, rozgałęzionego między uczniami lwowskiej wszechnicy... Sam o sobie pisze potem Szajnocha, że „gnała go wówczas gorąca żądza dorównania dawniejszym i świeżym wzorom poświęcenia się dobrej sprawie, żądza dostąpienia kiedyś ich sławy i męczeństwa.“

Różne koleje i zawody, jakie przechodził, oddając się dla zapewnienia powszedniego chleba sobie i rodzinie to udzielaniu lekcji, to dziennikarstwu, a nawet przez czas pewien agronomii,—nie osłabiły jego energii, nie wyczerpały sił i nie wstrzymały go na drodze ciągłej nauki

i samodzielnych studyów. Nie jeden ze zdolnych dziś literatów, absorbowanych zupełnie gazeciarską robotą, brałby mógł przykład z Szajnochy, który obok tak niewdzięcznych i uciążliwych zajęć, jak np. zapełnianie *Rozmaitości* przy *Gazecie Lwowskiej*, znajdował czas do wszechstronnego kształcenia umysłu i do wzbogacania wiedzy zdumiewającą nas w tylu pięknych dziełach erudycją, połączoną z niezrównanym, do najwyższego stopnia posuniętym artystem.

Był to zaprawdę duch pod każdym względem wyższy, niezłomny, nie ulegający smutnym stosunkom życia, lecz umiejący nad niemi zapanować zwycięzko, człowiek, którego ani fizyczne boleści, ani nawet utrata wzroku nie zdołały powstrzymać od podejmowania nateżających badań i ubierania ich w czarowną szatę opowiadania.

Tak wewnętrzne uprzedzenie o rodzaju swego talentu, jako też potrzeba chwili skłoniły go do rozpoczęcia pisarskiej kariery od powieści, dramatów i poezji, drukowanych we lwowskich czasopismach. Zapewne, że ani *Romans na własne oczy widziany*, ani *Stasio*, *Zonia*, *Paniec i dziewczyna*, *Wojewodzianka sandomirska*, ani *Jerzy Lubomirski* nie należą do arcydzieł, zawsze jednak jako pierwsze utwory objawiały niepośledni talent, wywołały wojnę między recenzentami i zjednały autorowi sympatyę czytającego ogółu.

Niedługo zresztą zabierała mu drogi czas beletrystyka. Porzuciwszy ją nie bez żalu, poświęcił się stanowczo i wyłącznie ojczyznom dziejom. Na tém polu zyskał on sławę i wziętość bezprzykładną, a najzupełniej zasłużoną. Skupił bowiem w jednej osobie genialność krytycyzmu, ogrom erudycyi i mistrzostwo formy; pod względem krytyki dziejowej i zasobu źródeł dorównuje najznakomitszym bodaczom europejskim, pod względem zaś twórczości, dziejopisarskiego kunsztu i obrazowości w opowiadaniu przewyższa Thierrego i Micheleta.

Dawno to uznała myśląca część publiczności, lubo górująca wszędzie miłość własna nie dozwoliła tego wypowiedzieć bez ogródki, mianowicie historykom z powoła-

nia. Mimo to jeden z najsurowszych krytyków, Julian Bartoszewicz, taki o nim sąd wydaje: Nie ma żadnej wątpliwości, że do historii u nas nie rzucił się dotąd nigdy tak znakomicie poetyczny talent, jak Szajnocha. Nietylko mu o wyświecenie przeszłości idzie, lecz i o to, żeby ją przedstawił w sposób malowniczy i piękny. Nie jest jednakże u niego forma pierwszorzędną rzeczą; Szajnocha bada, studjuje i rzeczywiście w przeszłości naszej odkrywa nowe światy, rzuca na nie nowe poglądy.

Ileżbo słonecznych blasków rzucił ten ociemniały badacz na zamierzchłe czasy dawno ubiegłych wieków, ileż fałszów usunął, ileż przesądów obalił! Czytając cudowne jego opowieści, setny zaledwie pomyśli, jak krwawym trudem zdobywał nieboszczyk te świetne pomysły, nie rzucając tak sobie a priori, lecz wypływające z długoletnich poszukiwań najmozolniejszych, bo z pilnego odczytywania nietylko źródeł drukowanych, lecz także nieprzejrzanego rękopiśmiennego lasu aktów, listów, zapisków pamiętnikowych i t. d. Tylko przy tak wysokim talencie i tak rozległych studiach można było stworzyć podobne arcydzieła, jak Bolesław Chrobry, Jagiełło i Jadwiga, można było tak wybornie narysować koloryt wieku, dać tak dokładny i wierny obraz życia narodu we wszystkich kierunkach, w politycznym, socyalnym, obyczajowym i rodzinnym.

Pisarz to zarówno wielki w malowaniu całych epok, jak w szkicowaniu pojedynczych, drobnych niekiedy na pozór wypadków. Nieocenionym jest (mówi Bartoszewicz, którego zdanie znów przytaczamy jako najkompetentniejszego i najsurowszego zarazem arystarcha) w owych brylancikach literatury, które przeżywa szkicami historycznymi. Jest on w nich nienaśladowany, czarujący, pokazuje się tu nadto krytykiem. Ale zawsze wierny sobie, krytykę faktów umie tak doskonale połączyć z artystycznością, że niewiadomo, czemu się wprzód dziwić, czy trafności spostrzeżeń, czy sile talentu w opowiadaniu.

Szajnocha maluje przeszłość zawsze w bezwzględnie prawdziwym, rzetelnym świetle, lubo zawsze z synowską miłością do niej się zwraca. Ale miłość ta nie posuwa się u niego nigdy do bałwochwalstwa, nigdy mu pobożnych kłamstw nie kładnie w usta. Ztąd gniew tych pocziwców, co to historią uważają za „kurs pedagogiczny“, obruszających się z powodu szacownego zkądinąd, lecz źle pojętego patryotyzmu na wywodzenie szlachty polskiej ze Skandynawii, od najezdniczych Normanów, i na wyjaśnienie stosunków Jadwigi z Wilhelmem rakuzkim. Rzecz to wielce charakterystyczna, że z powyższym zarzutem spotyka się znów inny, wprost mu przeciwny, dotyczący idealizowania osób wprowadzonych przez autora na scenę dziejów. Któryż tedy z tych zarzutów słuszny? Podobno ani jeden, ani drugi.

Rozumiemy zarzuty poważne, na ściśle naukowej

podstawie oparte; wstydzimy się za takie, co tak średnio-wieczne wyjawiają pojęcia. Patologiczny ten objaw tak przecież u nas częsty, że wykorzenie go nie łatwo. Dowcipnie wyraził się o Lechickim początku. Polski sam Szajnocha, zowiąc go wymalowanym na tarczy łbem bisurmańskim, do którego niegdyś każdy szlachcic uczył się strzelać, a teraz strzela z kolei każdy literat...

Natomiast dzieło Szajnochy, traktujące o Polsce już historycznej, przyjęto z powszechnym, niczem niezamąconym zapałem. Bartoszewicz zowie je arcydziełem, któremu nie zarzucić nie można, i podziwia misterstwo artysty, z jakim drobne kamyczki faktów i podań złożył w najpiękniejszą mozaikę. Wspaniały bo też obraz stanowi to rozpoczęcie epoki piastowskiej, jakby ze śpiżu ulana postać tego Mieszkowego syna, pod którym się aż koń uginał, gdy jak lew ryczący szedł na czele swych szyków gromić zdradne Niemce; tego mocarza, co wewnątrz żelazną dłonią spajając niesforne i do rozprzężenia skłonne żywioły, na zewnątrz rozprzestrzenia granice ojczystego kraju i sławą swego oręża napełnia Europę.

Nie dotyka już dalej pióro naszego historyka dziejów następców Chrobrego, ani Polski w podziałach, nie dotyka tego zamętu i rozprzężenia całych pokoleń, „które się wyrodziły w rozpustników i mnichów, katów i świętych“, ale stawia nam przed oczy Odrodzenie się Polski za czasów dzielnego, niezłomnego Łokietka, maluje początek epoki Jagiellońskiej w Jagielle i Jadwidze, ich zapasy z wrogą niemczyzną, z chytrem krzyżactwem, daje nam wreszcie jaskrawy lecz prawdziwy obraz Polski XVII wieku, mimo świetnych powodzeń chylącej się już wówczas ku upadkowi, w nowym świetle wystawiając mianowicie stosunek kozaczyzny do Rusi.

A w odpowiedź niejako tym, co się nań gniewali, że dzieje pozbawiał nieprawdziwego uroku, rehabilituje Elżbietę, siostrę Kazimierza W.; oczyszcza z niezasłużonej plamy Elżbietę Radziejowską, posądzoną o miłosne stosunki z królem, Janem Kazimierzem; Annę Oświęcimównę, pomawianą o kazirodcze związki z bratem, kreśli dzieje idealnych, opromienionych aureolą cnoty lub patryotyzmu niewiast i matron, że wymienimy tylko Kingę świętą, żonę Bolesława Wstyd., Elżbietę rakuzką, córkę jej nieszczęśliwą, Jadwigę, Barbarę Radziwiłłównę, Reginę i Klementynę Sobieskie... Zawistna śmierć, której ostatnimi laty tyle znakomitych oddaliśmy ofiar, zbyt wczesnie wydarła nam i ś. p. Szajnochę. Teki jego zapełnione były pracami porozpoczywanemi nawet w chwilach wielkiej boleści fizycznej, materiałami nagromadzonemi troskliwie, a ileż to materiałów takich spoczywało w jego głowie, ileż tam tkwiło jeszcze pomysłów, rojących się tłumnie i rwących do wcielenia w szatę precudnej formy, oczekujących tylko chwili przeobrażenia się w ciało... Wielu podobno ubogich duchem czerpało mniej lub więcej zrecznie z tych iście królewskich

dostatków, wielu z pomiędzy łaknących pochwytywało okruchy, które obficie schodziły z tego stołu umysłowej biesiady...

Sandomirska. Żalowi temu z tem większym naciskiem dajemy tu wyraz, iż sprawa Iwanowego syna dotąd zdaniem naszym ciemna i nie rostrzygnięta, że dla zwykłych



POMNIK GROBOWY K. SZAJNOCHY.

(Rys. K. Młodnickiego). (Ob. str. 11.)

Z naszej strony w końcu pozwolimy sobie wyrazić żal, iż genialne pióro Szajnochy nie dotknęło dramatycznego losu Maryny i jej carskiego oblubieńca Dynitra, do których zbliżało go i miejsce urodzenia (w Samborskiem) i praca w innym rodzaju podjęta pt. Wojewodzianka

historyków stawia ona nadzwyczajne trudności, i że rozwiązaćby ją mógł jedynie człowiek taki, jak nasz historyk, człowiek z erudycją i krytycyzmem łączący genialną intuicyją i wyjątkową, ściśle dziejową powieźlibyśmy, twórczość... Klemens Kantecki.

## Kazanie księdza Marka.

(Objaśnienie ryciny na str. 8).

**W** jedenastym zeszyście „Strzechy“ z r. z. podaliśmy obszerny rozbiór „Konfederatów Barskich“, tego jedyne go utworu dramatycznego, pióra genialnego twórcy „Dziadów“, „Pana Tadeusza“ i tylu innych arcydzieł, który niestety doszedł nas w mniejszej tylko połowie; bo z pięciu aktów, dwa zaledwie odszukano w papierach pozostałych po śmierci śp. Adama Mickiewicza. Brakującej reszty miał podobno dopełnić tłumacz „Konfederatów“ z języka francuskiego na polski, p. Olizarowski. Nie wątpimy, że z talentem wywiązał się ze swego zadania, i najgoręcej pragnęlibyśmy, tak uzupełnione dzieło ujrzeć na deskach scenicznych. Tymczasem wyrażając uznanie dla teatru lwowskiego, który nas bliżej poznał z tym dramatem, wystawiając dwa jego akty na scenie, podajemy czytelnikom jeden epizod z „Konfederatów“, narysowany ołówkiem przez p. Juliusza Kossaka, a wycięty na drzewie przez p. Zenona Szymańskiego.

Przedewszystkiem słówko objaśnienia.

W głębi Karpat konfederaci rozłożyli się obozem, i ztamtąd myślą zrobić wycieczkę na wroga. Przywodzi im dzielny Pułaski i Choisy, wyćwiczony w szkole rycerskiej oficer. Ale nie duch boży krzepi szlachecką bracię, lecz rozpusta i trunek, którym dodaje sobie animuszu. W obozie konfederatów znajduje się ojciec Marek, „sławny czynieniem cudów“, więc na tem większy animusz podnoszą konfederaci „zdrowie ojca Marka“. Jeszcze kielichy nie dotknęły ust, gdy ojciec Marek, jakby cudem wywołany, staje w kole biesiadujących:

„Macież Boga w sobie“

woła na nich:

„Precz z tym napojem! Napój to zmieszany  
Ze krwią niewiniąt, które kozak dziki  
Porywał matkom, zatykał na piki!  
Nie dotykajcie go!“

Burzy się wiara, łatwa do uszanowania cnoty, po-

chopniejsza pod wpływem wina do targnięcia się na świętego starca. „Naprzód, dalej“ woła, pójdziem na wroga i bez ciebie obędziem się, mnichu, dodaje w duchu. Lecz ks. Marek zgaduje ich myśli: „Z czemże idziecie na wroga?“ pyta...

„Z krzykiem? Spytajcie różnych prób krzykaczy,  
Co krzyk przeciwko Moskalowi znaczy?  
Dla czego przysła gdzieś na wiatrów cztery  
Szlachecka szabla od moskiewskiej szpady?  
Dla czego panów senatorów rady  
Od tchów moskiewskich jak dym się rozbiły?  
Oto dla tego, żeśmy nie umieli,  
Żeśmy nie chcieli szukać w Bogu siły.“

A potem:

„Bracia! na kolana!  
Wzywajmy, krzyczymy: miłosierdzia! wsparcia!  
Niech od nas wszelka odstąpi moc czarcia,  
Niech serca nasze nigdy się nie gaszą,  
A niech się palą tą miłością wielką,  
Co jest świętości wszelkich rodzicielką.“

Poczem ks. Marek kłęka przed kaplicą „Opiekunki i królowej Polski“, za nim pada na kolana cała wiara konfederacka, i tu następuje niewysłowienie piękna i natchniona modlitwa do Matki Boskiej, którą, gdyby nie wzgląd, że jest powszechnie znaną, przytoczylibyśmy w całości.

Modlitwa kończy się błagalną prośbą:

„A niech do Polski Bóg nawróci oczy!  
Niech jej przebaczy i niech już odwoła,  
Którego posłał z gniewem swym anioła!“

— Amen! — odpowiadają skruszeni konfederaci, a ks. Marek odwracając się z krzyżem do kłęczącej drużyny, woła gromko:

„A teraz wstańcie! Niech przekleństwo  
Spadnie na tego, co się wtył obejrzy,  
Niech taki nigdy nie ogląda Boga!“

Tę właśnie chwilę, najwznioślejszą w całym dramacie, upamiętnił znakomity nasz artysta ołówkiem.

WŁ. BEZZA.

## Ktoby się spodziewał!

HUMORESKA.

NAPISAŁ

WŁADYSŁAW ORDON.

**W** piękny czerwcowy dzień, salonik jadalny państwa Żarskich przedstawiał budujący familijny obrazek. Salonik ten miał drzwi frontowe wychodzące na ganek, i dwoje bocznych, jedno do pokoju pani domu, drugie do pokoju córki. Obiad dopiero co się skończył.

Pan Alfred, gospodarz domu, zasiadłszy w wygodnym fotelu, z wonnym sygarem w ustach, jak prawdziwy sybaryta sączył pomaleńku wyborną kawę, i prznosił wzrok z kolei to na uśmiechniętą żonę, przeglądającą najświeższy „Dziennik mód“, to na szczebiotającą i przelatującą jak ptaszek z kątką w kątek córkę. Czasami

wzrok jego, pełen rozmarzenia, odwracał się ku oknu, obwinętemu bluszczami, przez które wpadał do pokoju słup zielonego światła; spoczął na chwilę z dziecinnem zadowoleniem na miryadach pyłków, tańczących w słonecznym blasku, i szedł dalej za okno, gdzie szumiął kwitnący ogród, dotykający ciemnego lasu, w dalekiej perspektywie błękitnym dzwonem niebios zamknięty.

Było to ledwo o pół mili od stolicy, na letniem mieszkaniu, kędy co rok przyjeżdżał pan Alfred strząsnąć ze siebie pył biórowy, odetchnąć świeżem powietrzem i użyć bez troski roskoszy życia rodzinnego...

A pan Alfred był patryarchalnie dobrym ojcem i małżonkiem. Świadczyło o tem uśmiechnięte oblicze pani Herminii po ośmnastoletnim pożyciu, i pieśczośliwe minki panny Zofii, ilekroć zbliżała się ku ojcu. Wprawdzie bywały i dni burzliwe, bardzo burzliwe, ale jak na dzisiaj, zgoda i cicha radość w saloniku jadalnym zdawała się panować.

Nagle jednak pani Herminia rzuciła dziennik i postąpiła do sekretarzyka, gdzie na różowym pachnącym liściku pisać coś poczęła...

Pan Alfred poruszył się niespokojnie na fotelu.

— Do kogo piszesz, Mińciu — zapytał z pozorną niedbałością...

— Do pani Heleny — odpowiedziała skwapliwie i rumieniąc się zapytana — proszę ją, żeby nie zapomniała o uprzejmej obietnicy swojej...

— Jakiej obietnicy?..

— Wszakże wiesz dobrze!.. Przyjechania do nas na parę tygodni... do końca sezonu.

— Ach, przypominam sobie — pomruknął — ale zdaje mi się, że kilka dni temu zaledwie, jak pisałaś do niej... niepojęta jesteś z tą swoją pasyą korespondowania.

— Ależ mój Fredziu, kilka dni temu pisałam do Lewickiej o letni kapelusik dla Zosi!

— Ktoś z nas musi się mylić — zawołał żywo — obracając się do żony — pamiętam dobrze, że na zapytanie moje wtedy odpowiedziałas mi jak dzisiaj panią Heleną; ktoś z nas musi się mylić! — powtórzył z przyciskiem..

— Czy znowu? — szepnęła z wyrzutem pani Herminia — pochylając się ku mężowi...

— I cóż... znowu! — rzekł chłodno — zdaje mi się, że mam prawo...

— Zosia — zawołała pani Herminia — idź do ogrodu zobaczyć, czy wygracowane ulice, i każ postawić jeszcze jedną ławeczkę w altance, bo pan Oczo przyjdzie dziś do nas na podwieczorek...

Młoda panienska z domyślnym uśmiechem wybiegła...

— Jeżeli ci już o mnie nie chodzi — zaczęła patetycznie pani Herminia — to powinienbyś chociaż uważać na Zochnę, która Bóg wie, co pomyśleć może, a wkrótce wszystko już rozumieć będzie?

— Co? Zosia! — zawołał pan Alfred — to jeszcze zupełne dziecko, zresztą sama winna jesteś temu; prosiłem cię tyle razy, żebyś mnie nie drażniła temi listami...

— Ależ Fredziu — rzekła błagalnie — mam interesa, mam znajomych...

— Mamy wspólne interesa i powinniśmy mieć wspólnych znajomych — odpowiedział szorstko... a pani Helena...

W tej chwili otwarły się drzwi i przez nie wsunęła się do pokoju najprzód ostra spiczasta głowa, w peruczee, uzbrojona okularami, a wślad za tem maleńki, pochylony człowieczek, z bambusem o złotej gałce...

— Hm! — zawołał od progu — zanoszę się na burzę... oblicza zachmurzone, dysharmonia pływa w powietrzu... oj czuję to, czuję zdaleka... a grubo zapłaciłem ze tę umiejętność...

— A! witaj profesorze — rzekł pan Alfred wstając i siląc się na uśmiech!.. Jakże zdrowie!

— Bah! zagadujesz, zagadujesz dobrodzieju; widzę, co się święci, ale jak nie trzeba, to będę milczał. O zdrowie pytasz? Jak Bóg da, to wytrzymam.. zresztą miałem dzisiaj tak przyjemną nowinę...

— Od syna? panie Oczo — zapytała witając przybyłego pani Herminia.

— A od synka, od synka, pani dobrodziejko — rzekł z zadowoleniem malenki człowiek — od synka, boć to nie syn jeszcze, dzieciuch, 19 lat ledwo, pamiętam dobrze, że ma 19 lat; zakarbowała mi te lata w pamięci moja małżonka... świeć jej Panie!

— Oho! już się zaczyna apostrofa przeciw kobietom! — zauważała żartobliwie pani Herminia...

Pan Alfred nieznacznie przysuwał się ku sekretarzykowi...

— No, niech się pani nie obawia — ciągnął dalej profesor — nic nie powiem, choć przedmiot dalibóg niewyzerpany... gdybym chciał tylko!..

— Znam pańskie krasomówstwo pod tym względem — rzekła gospodyni domem...

— Ba, ba, żartuj pani, znana rzecz, Matka Boska za babami, za mężczyznami Pan Jezus: kruk krukowi oka nie wykoła!..

Pan Alfred zajrzał szybko w zaczęty list żony i rozmarszczył twarz...

— Dałbyś pokój profesorze — zagadał już wesoło — dysputy na potem, a teraz gadaj, co wiesz, co się dzieje... de publicis, de privatis...

— Zaraz, zaraz; pierwszej muszę z kochanemi sąsiadami podzielić się radośną nowiną, o której wspomniałem, jest ona w liście, który mi Henryk pisze z drogi do Wiednia...

— Do Wiednia? — zapytała w roztargnieniu pani Herminia.

— A tak, wysłałem go tam dla do kończenia edukacji; mam nadzieję, że dochowam się w nim pociechy.. żałuję, że

nie znacie!.. łepski chłopak, silny jak żubr, jak wół pracowity... a skromny jak panienska!.. ach jak skromny, cha! cha! cha! — i mała figurka profesora grubym śmiechem się zanosła!..

Śmiał się, aż się spłakał, potem otarłszy łzy fularzem i zażywszy tabaki, wydobyl z bocznej kieszeni pomięty, znać kilkakrotnie odczytywany list...

— Patrzycie na mój śmiech wielkimi oczami—zawołał nanowo wybuchając — ale, cierpliwości, za chwilę utworzymy tercet, niech no tylko odczytam...

Przetarł okulary...

— Gdzież u diabła to miejsce... ach mam już... słuchajcie!—I grubym, emfatycznym głosem począł, co chwila śmiechem sobie przerywając...

„Od samego Krakowa w jednym wagonie ze mnąjechała jakaś dziewczyna z czarnymi ognistymi oczami, które mnie prawdziwego strachu nabawiały...“ Cha! cha! wyborny, wysmienity, zląkł się czarnych oczu!.. He! co za dziewiczość! Ale czekajcie...

„Wzrok jej, zwrócony na mnie wyzywająco takim ambarasem i przestraczem mnie napełnił, że nie mogąc przenieść tego dłużej, na trzeciej już stacyi przesiadłem się“!

Tu profesor aż przysiadł od śmiechu, wreszcie opnowawszy się, odchrząknął i tryumfująco zawołał:

— No cóż, nie wieszycie mi! Ta anielska szczeróść, ta boska bojaźliwość, ta niebiańska trwoga przed kobietą. oto owoce mego wychowania... Ale to nie jeszcze!.. Za dwa lata przedstawię go wam silnego duszą, bo czystego ciałem; z jasną i spokojną inteligencją, rozkazującą dziewczym zmysłom, a wówczas pojmiecie, co znaczy moja teoria wychowania i celibatu, i dziwacznym moim, jak je nazywacie, utopiom uderzycie czołem..

— Hm!.. — mruknął ironicznie pan Alfred — nie mów hoc, aż przeskoczysz!..

— Co? — przerwał gorąco przybyły — miałbyś wątpić, miałbyś się obawiać!..

— Lepiej go było wychować jak innych ludzi — rzekła z powagą pani Herminia. — Będzie to albo potwór, albo hipokryta!..

— Mniejsza o to, byleby go nie spotkał mój los — zawołał zapalczywie profesor — pięć lat pożycia z kopią nieboszczki Ksantypy i na ostatku... fru!.. na koniec świata z porucznikiem! Tfu! nie wierzę żadnej kobiecie!..

— Profesorze, nie zapominaj, że mówisz to przy mnie? — zauważała z godnością pani Herminia!..

— No! no! znamy się!.. Jeżeli która dobra, to dobrze strzeżona — odmruknął zaperzony pan Oczko... I to jeszcze nigdy całkiem człowiek nie pewny!..

— Jednakże profesorze — zaczął pan Alfred rzucając chmurniejący wzrok na żonę... jednakże!..

— No już tylko! tylko ty, dobrodzieju, nie bierz się do

apologii — zawołał śmiejąc się Oczko! — przypomnijmy no tylko sobie wszystkie figle, jakieśmy niegdyś mężom i ojcom płatali, a zapewne...

— To nic nie ma do rzeczy... chciał przerwać pan Alfred.

— Ba! nie tylko ma, ale grubo ma — roześmiał się profesor — z cudzych dziejów sądz o własnych!.. a sekretarzowa w Jenie!

— I coż sekretarzowa? — zapytał pan Alfred, na próżno dając znaki porozumienia profesorowi...

Pani Herminia spojrzawszy ze słodkim wyrzutem na męża, cofnęła się z godnością do okna...

— Że też nie możesz nigdy powściągnąć języka, profesorze — rzekł niechętnie półgłosem pan Alfred do nieprzyjaciela kobiet — co było, to nie jest... a zresztą — dodał, jakby chcąc sam siebie uspokoić — nie wszystkie kobiety jednakie, choćby naprzykład moja żona!

— Hm! — odchrząknął znacząco profesor...

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zawołał żywo przysuwając się pan Alfred, i nagle zatrzymał się...

Zosia wbiegła do pokoju... Młoda dziewczyna miała zapłonioną mocno twarz, i jeszcze mocniejszym pokryła się rumieńcem, widząc, że wszyscy znajdują się w saloniku. Rękę trzymała w zanadrzu. Chciała cofnąć się, ale profesor już był przy niej i zagroził jej drogę...

— Powolutku, malino — zawołał — zmiękczejąc swój gruby głos — gdzie tak spieszymy? nie chcemyż się ani widzieć z przyjacielem... Ach co za rumieniec!.. Proszę o tę maleńką rączkę — zawołał, chcąc pochwycić ją za schowaną rękę...

Dziewczyna cofnęła się żywo i pobiegła do matki.

— Daj jej pokój profesorze — rzekł pan Alfred — to dziecko jeszcze prawdziwe i lada czego się zląknie... ot i teraz miała prawie łzy w oczach!..

— Tem lepiej! tem lepiej! — mruknął do siebie profesor. — Kto wie! kto wie!.. a dalibóg głupstwa warta!..

— No cóż, Zosiu? — zapytała pani Herminia...

— Ulice wygracowane, a w altance... tu urwała, zaczerwieniwszy się aż po włosy...

— W altance — dokończyła jękając się dziewczyna — w altance ławeczka jedna więcej, i Walenty podwieczorek zastawia...

— Co znaczy ten rumieniec — zapytała pani Herminia, bacznie wpatrując się w córkę...

W tej chwili na wielkie szczęście zapytanej, drzwi się otwarły, wsunął się z pokornie zdjętą czapką ogrodnik i stanął przy drzwiach...

— Czego chcesz? — zapytał go pan Alfred...

Ogrodnik był stary żołnierz, gaduła...

— Melduję wielmożnemu panu, że się złodzieje koło domu kręcą!..

— Co? gdzie? jakto? — posypały się zapytania...



— A to proszę wielmożnych państwa, znalazłem na żywopłocie, co ode wsi, ot ten kawał przyodziewku!..

Zosia była blada, jak płótno...

— Kawałek jakiejś okrywki — zawołał przyskakując pan Alfred — podszywka atlasowa! — syknął rzucając demoniczne spojrzenie na żonę — wykwintny złodziej!.. No cóż dalej, gadaj! — zawołał trzęsąc przestraszonym ogrodnikiem...

— A no nic wielmożny panie, jeno jakem ten szmat zobaczył, takem zaraz pomyślał, pewniakiem tu będzie złodziej, aż tu i widzę... ślady!..

— Ślady! — zawołał ochryplym głosem pan Alfred...

Profesor ironicznie bębnił w okienko...

— Wiesz ta sama historia zazdrości — mruknął.

Zosia schowała twarz w album i trzęsła się cała.

— A tak, ślady! A że wczoraj deszcz padał i połamał nawet tę wielką azalię wielmożnej pani, co to wielmożny pan...

— Już widziałam — przerwała z niepokojem pani Herminia...

— Bierz kaduk azalię i ciebie — zaryczał z całą impetycznością pan Alfred — te ślady! zkad, dokąd te ślady?..

— A no... Na rozmokłej glinie i piasku widać od wsi i płotu, aż do altanki i pod okna...

— Pod czyje okna, rozbójniku! — zawołał pan Alfred...

— Pod wielmożnej pani — wyjąkał blady z przerażenia ogrodnik — dalibóg ja temu nie winien, wielmożny panie — dodał, cofając się — ja pilnuję jak oka w głowie, i psa spuszczam, ale kto tam plagę taką ustrzeże... złodziej zawsze mędrszy od poczciwego człowieka, na to on i złodziej.

— Idź precz! — wrzasnął ze wściekłością pan Alfred — Idź precz!.. Zosia wcisnęła się jeszcze głębiej twarzą w album i zdawała się nie nie słyszeć.

— Nie! stój!.. stój! — krzyknął za odchodzącym pan Alfred, pieniąc się ze złości — stój! Zwoląć obławę!.. nie... zasadzić na czaty parobków, nie! do kroć set!.. wszyscy z łopatami, rydlami!.. doły wilcze pokopać, wszystkie pastki i żelaza na lisy zastawić... dalej, żywo! ja z wami! — i wybiegł za drzwi, piorunując żonę ostatniem spojrzeniem...

— Pomaleńku! Fredziu! Pomaleńku! nie alteruj się — wołał za nim idąc z flegmą maleńki profesor — to się na nic nie zdało... Gonisz za cieniem jak zawsze. Zresztą co sądzone, nie minione! Nie ty pierwszy i nie ty ostatni! Gotów jeszcze głupstwo jakie zrobić... mruzczał wychodząc do ogrodu.

Matka i córka zostały same...

Pani Herminia była w godnym pożałowania stanie...

Ręce jej się trzęsły, podnosiła się i znów siadała.

— Byłżeby to on? — wyjęknęła wreszcie do siebie... — Nie ma wątpliwości... zuchwalec! Nieszczęśliwy...

Podniosła się gorączkowo...

— Zosiu! — zawołała...

Dziewczę stało przy oknie wychodzącem na drogę i udawało, że nie słyszy...

— Co ja chcę czynić — szepnęła zatrzymując się pani Herminia — zwierzyć się takiemu dziecku, choć nie strasznego... a jednak... Ale ja mu nie mogę dać zginąć... Zobaczmy co się dzieje? — I wybiegła za innemi...

Na stuk drzwi, Zosia obróciła się, przeżegnała i bez sił prawie osunęła na blisko stojącą kanapkę!..

## II.

Ażeby dobrze zrozumieć, co już było i co nastąpi, potrzeba nam kilkoma słowy określić przeszłość i charakterystyki znajomych nam już osób. Pan Alfred Żarski, niegdyś pierwszorzędnym hulaka i don Juan, po bardzo burzliwej młodości ustatkował się gwałtownie, i porwany matrymonialną gorączką, z wielkim podziwem dobrych koleżków i całej już wątpliwej o nim rodziny, za indultem w dwa tygodnie się ożenił... Cudu tego dokazała piękna panna Herminia Rylska... Córka dość ubogich mieszczan, wychowana w najsroźszym rygorze, w klasztorze uczona, żegnająca się na wspomnienie Żyda tułacza, ideał bierności i pruderyi przedstawiała... Zahukana i tresowana szorstko w domu, wiecznie utrzymywana w przeświadczeniu, że nikt jej nieposażnej i brzydkiej nie weźmie, ani źdźbła kokieterii i pretensyi w sobie nie miała...

Tymczasem jeżeli była biedna, bynajmniej brzydka nie była. Ba, owszem, z ośmnastoletnią świeżą minką swoją, kruczemi włosami i błękitnemi, przestraszonymi oczyma, za piękną nawet uchodzić mogła...

Pan Alfred spotkał ją na jakiejś wieczorynce u znajomych, i rzecz osobliwa, on, co kiedyś najpierwszemi pięknościami na lewo i prawo przerzucał, wyzywający wzrok ognisty i pełne obietnic usta tylko kochał, wyszukał schowany w samotnym kąciku ten fiołek w perkalikowej sukience, i nie opuścił go już przez wieczór cały...

Z każdą chwilą zapał jego wzrastał...

Panna nie wiedziała, co robić z rękami... za każdym jego pytaniem oglądała się na matkę... i patrzyła się na niego bojaźliwie, jakby błagając o przebaczenie, że taka niezgrabna i brzydka...

Siedzieli we framudze okna. Podając jej herbatę, powiedział jej jakiś komplement i pocałował ją w rękę. Panna zatrzęsała się cała, puściła z rąk filiżankę na podłogę, skamieniała z ambarasu; podniosła się, nastąpiła sobie na suknię, okryła się ciemnym rumieńcem i ze łzami wyszła za gderającymi rodzicami.

Pan Alfred kochał się już na zabój.

Nazajutrz przedstawił się w ich domu. W krótkich zarysach ubito rzecz całą... Rodzice byli zachwyceni. Cóż

mówić o pannie? Mąż, i jeszcze taki, wydawał się jej istotnym podarunkiem nieba, szczęściem spadłem we śnie. Zdawało się jej, że żaden mężczyzna nie przybliży się do niej. Wprawdzie nieraz na ulicy przechodnie oglądali się, kiedy szła, w kościele stawali uparcie obcy ludzie przy jej ławce, ale nie brała tego nigdy do siebie. Gdzieżby zaś! A teraz... I tonęła cała w szczęściu. Przysięgała swojemu małżonkowi z pokorą niewolnicy i dumą królowej...

Po ślubie pan Alfred się schował. Przez dwa lata nikt nie widział jego żony. Dom był jak szkatułka sztucznie zamykana. Wejścia do niego nie można było znaleźć. Sroższy niż Raul Sinobrody, pan Alfred do okna nie dał się zbliżyć nawet swojej żonie. Zerwał ze wszystkimi przyjaciółmi. Wszystkie listy sam odbierał. Kupił rewolwer i parę kuchenrejterów. Do bióra pędził jak wicher i często wracał zniecka. Z bióra przychodził cicho, jak mara... Czasami nie było go dzień cały. Czatował wtedy ukryty za żaluzjami przeciwległego domu, gdzie najał sobie obserwatorium. Nie dosyć mu było na tem. Przez expresa starał się doręczyć swojej żonie listy miłosne, niby od kogoś nieznanego. Trzy razy służąca się oparła. Czwarty raz pięć rubli zwyciężyło... List został doręczony... Za powrotem do domu pan Alfred zastał swoją małżonkę z listem w ręku, oddała mu go, żałując, że rozpieczętowała, bo zapewne nie do niej był napisany. Pan Alfred o mało nie udusił zadziwionej tym wybuchem miłości żony; pokójkę byłby zjadł w kwaśnym sosie, gdyby mógł być, w niemożności przecież poprzestał na wypędzeniu jej. Słowem, za nic Otello. Wreszcie uspokoił się i zdecydował raz na wyjście ze swoją żoną na przechadzkę... Powoli uzuchwalił się nawet o tyle, że wybrał się w odwiedzin do znajomych. Do tej pory pani Herminia nie zauważała ani nie pojęła tych wszystkich manewrów męża. Wszystko to wydawało się jej tak naturalnym: ten nadzór, to więzienne życie tak kwadrowało z jej dawnymi nawykami, że nie spostrzegła zmiany. Zresztą Bóg im dał w pierwszym już roku córkę, i słodka ta troska pochłonęła całkiem młodą kobietę.

Jednakże z czasem, porównując na spacerach, widowisku, w towarzystwach, swobodę innych żon i zachowanie się ich mężów, ze swoją niewolą, z podejrzliwością Alfreda, zadumała się.

Osobliwa rzecz jednak. Owocem tego zadumania był następny monolog przed zwierciadłem:

Jednakże ja nie jestem tak brzydka; i Alfred widocznie bardzo mnie kocha...

Z tego monologu wysnuł się psychologiczny rozwój ducha pani Herminii.

Pod wpływem ciągłej natarczywej zazdrości męża pani Herminia ani razu nie zachwiała się w miłości do niego, ale nabyła w ten sposób wiarę w potęgę swoich wdzięków zamieniła w mocne i niezbitę przekonanie o wszechwładztwie

swojem, o przyciągającym wszystkich uroku; poczęła widzieć w każdym mężczyźnie zaczajonego Don Juana i litować się prawie nad mężem, że tak niebezpiecznego skarbu strzedz musi... To też postanowiła z całą naiwnością pomagać mu: strzedz się sama ile możliwości. Ztąd każde rzucone spojrzenie w towarzystwie, każde słówko słodsze brała pod swoim adresem, i w duszy ciesząc się temi tryumfami, nie mogąc żadną miarę nienawidzić swoich ofiar, opierała się przeciw pełną powagi twarzą i zachowaniem tym imaginacyjnym atakom... Mówimy, imaginacyjnym. W pierwszych bowiem latach, jeżeli i złudziły kogo świeże i pełne wdzięki pani Herminii, to ujrawszy złowrogą twarz męża—smoka, cofał się od progu czynu; później zaś nikomu zaloty na myśl nie przychodziły. A jednak z wiekiem właśnie wzmagaly się owe przekonania i obawy u pani Herminii, podtrzymywane coraz straszliwszemi domowemi burzami. Burze te były przedmiotem trwogi i razem osobliwej jakiejś wewnętrznej uciechy dla pani Herminii. Były to jak gdyby za gwałtowne trochę komplementa. Dodawały one smaku i soli wierności, podnosiły potęgę wytrwałej cnoty; pana Alfreda bowiem wiek nie zmienił. I owszem zazdrość stała się dla niego idee fixe, nałogiem, koniecznością. W braku cienia podobieństwa tworzył sobie widma i walczył z nimi. Doświadczenie młodości jak trucizna sączyło się po kropelce w kielich jego szczęścia przez całe życie. Była to Nemesis. Czas nic nie pomógł. Dla niego żona była zawsze ową Mińcią, z miodowych miesięcy, a każdy młodszy człowiek przymilającym się, jak ów żebrak w Gil Blasie rozbójnikiem. Wszystko to nie przeszkadzało Żarskim w chwilach ciszy kochać się, jak parze gołąbków.

Dziecko takich rodziców powinno nosić na sobie wszystkie ich cechy. I w samej rzeczy.. Matka z natury swojej i wspomnień domowych w najświętszej pokorze i niewiedomości wdzięczną Zosienkę chowała, ojciec widmami dawnych wspomnień straszony, nie miał dosyć ostrożności w obejściu się z nią. I zdawało im się, że wychowali ideał niewiedomości. Ideałowi temu w chwili rozpoczęcia naszego opowiadania było lat ośmnaście; nosił on jeszcze krótkie sukienki i ledwo wyszedł z pod władzy starej guwernantki, i oprócz 50 letniego metra tańców i muzyki, nie miał prawa spojrzeć na żadnego mężczyznę... Tymczasem dziewczynka była wcale sprytna. Próżne ludzkie rachuby!.. Do edukacji panią w mieszały się niepotrzebnie: jakaś paczka żółkłych niegdyś różowych listów, odszukana w kąciaku ojcowskiej komody; rozczulające przygody Adolfa i Julii, Kropińskiego, jedyny grzech paniński matki, znaleziony i odczytany kilkakrotnie przez córkę... a wreszcie potężna i nieproszona wróżka natura, i jeszcze ktoś... jak zobaczymy...

W chwili, kiedy znajdujemy Żarskich na letniem mieszkaniu, jedyne sąsiedztwo ich stanowił stary profesor

Oczko, emeryt, który nabył niedawno o wiorstę od letniego ich pomieszkania małą wioseczkę. Była to uniwersytecka znajomość pana Alfreda, na świecie zgubiona, teraz niespodzianie odszukana.

Powiedzieliśmy: stary profesor. Tymczasem profesor mimo skończonej 50ki i dorosłego syna, obruszyłby się na ten przymiotnik. Mimo nawet głośno wyznawanego wstępu do kobiet, nie pozbył się galanterii; goniąc jednakże za niewinnością i młodością, które za łagodzące okoliczności uważał... z przyjemnością bywał u Żarskich, gdzie go świeżutka twarzyczka Zosi przedewszystkiem ciągnęła, choć poznać jeszcze tego po sobie nie dawał. Broń Boże! On? nieprzyjaciel kobiet. A nieprzyjaźń ta miała swoje powody. Jakiś porucznik od huzarów wziął mu, zresztą bardzo nieznośną żonę i na kosztta rozwodowe naraził... To też pozostałemu mu po niej syna, Henryka, w świętej zgrozie kobiet i małżeństwa chował... Na użytek pedagogiczny dla syna swojego wyrobił sobie zabawną teorią celibatu, popartą zdaniem ojców kościoła o godności dziewictwa i stanu bezżennego, erudytnemi wzmiankami o Westalkach, Druidkach, uczonemi wywodami o wpływie błogosławionym celibatu na ducha i ciało człowieka. Czy Henryk z tego korzystał... nie wiadomo. To pewna, że był

to dziarski 20letni młodzian do tańca i do różańca wysłany obecnie właśnie, po skończeniu szkół w stolicy, na akademią do Wiednia i rokujący, jeżeli prawdą było, co napisał, najpiękniejsze dla ojca i świata nadzieje.

Teraz pozostaje nam wytłumaczyć gromowy skutek doniesienia ogrodnika z początku powieści...

Ślady i szczątek sukni przypomniały pani Herminii młodzieńca, który całą jesień ścigał ich na przechadzkach... którego widziała kilkakrotnie przy bladym świetle księżyca, nieruchomie wpatrzonemu w okna ich domu, i który...

Dosyć, że nie dziwiła się wcale panu Alfredowi i jego wściekłości, a jednak nie mogła pozwolić na śmierć lub nieszczęście nieznanego młodzieńca. Bóg chce tylko poprawy grzesznika... cóż dopiero słaba kobieta?.. Taki był blade i smutny... A zresztą cóżby się stało, gdyby go schwycił Alfred. Pierwszy raz ujrzała rzeczywiste dla siebie niebezpieczeństwo i zadrzała... Trzeba go ratować. Ale jak?.. Gdzie mieszka... Ach! naprzeciw ich domu w mieście... Należy wysłać kogoś uprzedzić go... W każdym razie pobiegła zapobiedz, jak będzie można...

A cóż Zosia myślała?

Obaczmy, co myślała Zosia.

(Dokończenie nastąpi.)

## Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, 1. stycznia 1872.

(Z nowym rokiem. — Ostateczne zorganizowanie Towarzystwa sceny lwowskiej. — Przedstawienie „Snu nocy letniej“. — „Wielka księżna Gerolstein“. — Muzyka. — Pobudki karnawałowe. — Dwa stypendya artystyczne. — Wspomnienie pośmiertne. — „Dzwonek“ i „Gromada“.)

Data dnia dzisiejszego usposabia dziwnie do wynurzania życzeń i gratulacji. Niejedno też możemy sobie życzyć przy nowym roku — my, amatorowie sztuki lub artyści; talentów bowiem nie brak między nami, ale też pracą i gorliwością w swym pięknym zawodzie, szczerze to sobie powiedzmy, nie celujemy wcale. Literatura piękna, scena, muzyka, malarstwo i rzeźba licznych i po największej części uzdolnionych znajdują u nas uczniów, a przecie żadna z tych gałęzi sztuki, oprócz literatury i chyba malarstwa, dzielnością pojedynczej jednostki, Matejki, wyniesionego do najchlubniejszej pełni, nie dosięga u nas tego stopnia rozwoju, jakim inne się szczycą narody, i jakieby odpowiadało stanowisku zajmowanemu przez nas wobec cywilizacji. Do pracy więc, rzetelnej a wytrwałej panowie artyści! Bez próżnej żądzy sławy, lecz z dobrem kraju, jako celem ostatecznym w sercu, do pracy! Takie nasze życzenia noworoczne, dla was; publiczności zaś życzymy

owych ciepłych uczuć i zdrowych myśli, co są kluczem do tajników sztuki waszej, i za którymi idą współczucie i uznanie.

Podobno już wkrótce ma być zwołane walne zebranie akcyonaryuszów sceny lwowskiej celem ostatecznego skonsolidowania i ukonstytuowania się Towarzystwa, więc też ustalenia zarządu artystycznego. Spodziewać się tego możemy tem prędzej, że sejm uchwalił 8000 zł. rocznej subwencji dla sceny lwowskiej, wyplatę takowej jednak zależnem uczynił od przyjęcia do skutku Towarzystwa. Osobna komisya, zajmująca się ułożeniem rachunków tymczasowego komitetu teatralnego, jak nas zapewniono, kończy już swoje prace dla zdania z takowych sprawy walnemu zgromadzeniu. Podług wiadomości, zasięgniętych przez nas w tej mierze, stan finansowy sceny nazwać można wcale pomyślnym, gdyż zaliczki uiszczone przez członków zarządu tymczasowego na pierwsze potrzeby sceny w znacznej części są już spłacone i nie wynoszą obecnie nad kilka tysięcy złotych.

Przedstawienie „Snu nocy letniej“ Szekspira znowuż posłużyć może za dowód, jak niedostatecznem jest obecne kierownictwo sceny, począwszy od obsady ról aż do układu scenicznego sztuki. Najniewłaściwiej powierzono rolę Tezeusza p. Konarskiemu, a Oberona p. Zbońskiemu, skutkiem czego wiele najpiękniejszych scen nie wywarło prawie wrażenia na

publiczności. Artyści zaś, przedstawiający rzemieślników ateńskich, tak nie a nie umiarkować nie umieli swoich głosów i ruchów, że sceny ich, w gruncie bardzo komiczne, bardzo miłe, raziły grubą przesadą, z naiwnych bowiem porobili oni gburowatemi swoje postacie. A przecie w tejże samej sztuce Szekspir tak jaskrawo wyszydza brak umiarkowania u aktorów, w tejże samej sztuce powiada: „dobrześ zaryczał lwie!...“ Cośmy tu powiedzieli o grających role rzemieślników wogóle, nie dotyczy wcale gry p. Podwyszyńskiego, który umiał w swej roli zachować artystyczną miarę. Pełne uznanie za grę w owym wieczorze należy się pannie Urbanowiczówniej, która była prawdziwie eterycznym, jak powiew wiatru swobodnym diablikiem w roli Puka, i powiedzieć można: podtrzymała całe przedstawienie.

Opera wystąpiła z nowością nie bardzo fortunną, z „Wielką księżną Gerolstein“. Już to Bogiem a prawdą szkoda taki głos, jak panny Kwiecińskiej, i wogóle siły opery nużyć w utworach tego rodzaju, a gdy już dyrekcya postanowiła koniecznie „uraczyć“ nas „Gerolsztynką“, to niechby ją była wystawiła siłami operetki. Bądź co bądź, jak „Księżna Gerolstein“ nie jest operą, tak i talent panny Kwiecińskiej nie nadaje się do księżnej Gerolstein.

Wieczorki Towarzystwa muzycznego, miłe i pełne treści jak zazwyczaj, odbywają się już bez przerwy każdego tygodnia. Wkrótce zapewne wystąpi Towarzystwo muzyczne z koncertem.

Już i karnawałowa muzyka odzywać się poczęła; mieliśmy w teatrze dwie próby nowych tańców, na które publiczność pospieszyła tak tłumnie, że wnosząc z takowych wróżyć byśmy powinni bardzo ochoczy karnawał. Tańce układu Tymolskiego, Lipińskiego i Kohna, na swojskich osnute motywach, podobały się powszechnie; również kapelmistrzowie wojskowi pp. Panhans i Wanisek, dyrygujący orkiestrami konsystujących tu pułków, zebrali oklaski za tańce swego układu.

Znany chlubnie jako ilustrator „Szczytka“ i innych czasopism młody malarz tutejszy, p. Zygmunt Sidorowicz, otrzymawszy od sejmu stypendyum udał się za granicę celem dopełnienia studyów artystycznych. Jednocześnie prawie Rada miejska lwowska udzieliła stypendyum rzeźbiarzowi p. Tadeuszowi Wiśniowieckiemu, kształcącemu się w Monachium. Mamy prawo po obu tych młodych artystach spodziewać się w czasie dzielnych pracowników na polu sztuki ojczystej.

Jednej z świeżych znów mogił należy się tu serdeczne wspomnienie. W Stanisławie Chlebowskim, dyrektorze szkół realnych, straciliśmy jednego z najznakomitszych pedagogów i przyjaciół młodzieży. Zmarły liczył zaledwie 41 lat, a śmierć zastała go nad wielką pracą i uzupełnieniem wydanej przed kilkoma laty „Fizyki większej“, któremu to dziełu poświęcił był połowę życia. Cześć pamięci męża, który tak dzielnie i zacień służył krajowi!

„Dziejów Szlossera“ szósty już zeszyt opuścił prasę. — Pocciwy „Dzwonek“ z nowym rokiem przypomniał się znów przyjaciółom ludu, dobrawszy sobie za towarzysza „Gromadę“, pisemko również poświęcone interesom ludu. Jednego tygodnia wychodzić będzie „Dzwonek“, drugiego „Gromada“, na przemian. Szczęść im Boże!

B. K.

Drezno z końcem grudnia 1872.

(Straty poniesione w r. 1872. — Pantheon wiedzy ludzkiej. — Słowno do autorów milczących. — Bibliografia Estreichera. — Przygotujące się wydanie dzieł W. Pola. Medal na pamiątkę r. 1861. — Album i medal na cześć Kopernika. — Krakowski konkurs dramatyczny. — Przygotowania artystów polskich do wystawy wiedeńskiej.)

Rok to strat nieobrachowanych dla społeczności polskiej, i warto kończąc go choćby imiona przypomnieć poległych w boju braci. Zaczął go w końcu zeszłego lata Alexander hr. Przeździecki, dobrze zasłużony sprawie domowych dziejów i piśmiennictwu; poszli za nim Stanisław Moniuszko, hr. Adam Potocki, ks. Jerzy Lubomirski, Józef Narzynski, Wincenty Pol; i oto ostatni, a nie mniej od nich wszystkich drogi nam, Seweryn hr. Mielżyński. Wracamy właśnie z jego pogrzebu, pod wrażeniem przemówienia, nie krasomowców, co go uczcili słowem wymownem, ale prostego rzemieślnika, cieśli z Miłosławia, który u trumny dobroczyńcy chciał coś powiedzieć i uczcił zmarłego wymowniejszemi nadewszystko łzami, a za nim zapłakali wszyscy przytomni. Na trumnie leżał oręż z 1831 r. i krzyż wojskowej zasługi i wieniec obywatelski. Po szczytów życia tego człowieka odsyłam was do dzienników. Był to mąż prawy, wielkiego serca i czynu.

Gdzież są spadkobiercy tych drogich naszych nieboszczyków? oglądamy się napróżno. To pokolenie, które następuje po nich, zastygłe, rozerwane; to, co za niem idzie, zobojeźniałe i sceptyczne, to, co dorasta, wychowa się w wierze a raczej niewierze ojców. Schodzi stary świat do mogiły. My wszyscy Morituri vos salutant! Oby świat nowy był lepszym! Smutno na sercu, jakby je kamień przywalil; — o czem pisać w takim usposobieniu? Zwróćmy się do ksiąg, w nich pociecha i pokój.

Pierwszą z nich, jaka nam w rękę wpada, jest Pantheon wiedzy ludzkiej, pośmiertne i największe z dzieł Bronisława Trentowskiego. Dwa jego pierwsze zeszyty staraniem D. Libelta i rodziny, a nakładem Żupańskiego ukazały się właśnie, nadspodziewanie żywe obudziwszy zajęcie. Poważna ta praca, summa trudów całego życia filozofa naszego, wyjdzie więc na widok publiczny, i być bardzo może, wpłynie też po części na żywot nasz duchowny, zbyt ku innym zwrócony spekulacyom i filozofowaniom praktycznym. Nie ważylibyśmy się dotknąć tu samej treści dzieła, którego rozbiór może tylko podjąć, po jego ukończeniu, sędzia właściwy, a takim nam dziś wydaje się jeden D. Libelt i jeden D. Kremer. Ostatnią znaną pracą Libelta jest jego śliczna rzecz o narodowości w Rapperswylskim album; Kremera, który ma teki pełne, dawno, dawno nie czytaliśmy nic. Autor listów z Krakowa i podróży do Włoch, dźwigał przez rok dostojność rektora akademii, poniósł potem straty przez spalenie się domu i musiał potrzebować wypoczynku, po którym, jak się spodziewamy, powróci nam rześwieszonym do dawnych zajęć. My się mu narzucamy przypomnieniem, bo tęskno nam tego głosu od tak dawna niesłysząc. Moglibyśmy jeszcze z większym żalem w teź słowa odezwać się do nieznanego autora: Ojczy nasz, którego nowe wydanie zdało się nam zapowiadać ciąg dalszy. Czyż nas ma omylić nadzieja?

Do milczących także należy drogi nam i krajowi pracownik, D. A. Małecki, bo mu nie liczym wstępu do wydania Biblii Szaros-patackiej, a z upragnieniem wyczekujemy od tak dawna przyrzeczonej historii literatury naszej, do której nikt nad niego słuszniej powołanym nazwać się nie może; nad temi dziejami strawił wiele lat pracy, niechże nam da owocu jej skosztować. Słyszeliśmy o zamiarze spadkobierców zasłużonego ś. p. prof. Wiszniewskiego, uczynienia nowego wydania historii literatury. Cenne to dzieło jednakżeby już dziś nie odpowiedziało ani wymaganiom ani potrzebie czasu.

W milczeniu ciągnie dalej, i za to mu się cześć należy, Estreicher bibliografią swoją, której tomu II. zeszyt I. prasę opuścił. (Litera G. I.). Skończywszy XIX. w., jedno z najtrudniejszych zadań dla ogromu drobnostek, których czas nie zniszczył a sumienie zapisywać każe, zamierza rozpocząć, o ile wiemy, najciekawszy wiek XVI. Nasze dziennikarstwo żeby słowem choć wspomniało o tak wielkiem przedsięwzięciu, doprowadzonom już w znacznej części do skutku energią niezłomną jednego człowieka. Jak rdza nas zjadła wielka polityka, dla której prawdziwych w nas objawów życia nie dostrzegamy. Obojętność ogółu dla literatury daleko grzeszniejszą jest w powołaniem do pośredniczenia między nią a czytającymi dziennikarstwem.

Upominamy się napróżno o poprawę, jeden Dziennik polski dobrą wolę w tym względzie objawił.

Na rok przyszły wiele do spełnienia się gotuje. Słyszeliśmy, iż rodzina ś. p. Pola zbiera się na powierzenie wydania pism jego wszystkich (z których wiele niewydanych) p. Żupańskiemu. Jest to za granicą rosyjskiego zaboru jedyny wydawca na prawdziwie olbrzymie rozmiary. Wszystkiego, co on wydaje, co zamierza, co przygotowuje, niepodobna wyliczyć. Wystawa wiedeńska ukaże nam zdumiewającą całość wydawnictw Żupańskiego, składającą już znaczną bibliotekę.

Przybywający w tej chwili podróżny, mało znaną przywiózł z sobą pamiątkę, której opis powinien ją dać poznać krajowi, gdyż dotąd prawieśmy o jej istnieniu nie wiedzieli, a nie wiemy, kto się postarał o jej wykonanie. Jest to medal największego rozmiaru, prześlicznie rźnięty i odbity w Paryżu. Na jednej jego stronie wśród cmentarza, zasianego grobowemi krzyżami, u pomniku noszącego na sobie nazwiska poległych w r. 1861, stoi Polska w królewskich szatach, wskazując na krzyż i niebo. U stóp jej wije się wieniec wawrzynu i dębowych liści, z herbami Polski. U góry w otoku: „A z krwi waszej powstanie mściciel tej ziemi.“ Na drugiej stronie w wieniec z ciernia pod krzyżem: „Pamięci poległych i rannych na ulicach Warszawy współbraci, a ku wiecznej morderców hańbie.“ Medal jest wspaniały i prześlicznie wykonany. Gdy mowa o tej epoce, powiemy nawiasowo, iż nadzwyczaj ważne dyplomatyczne dokumenta z lat 1860 — 1863 wkrótce się w druku ukażą i obudzą, nie wątpimy, najżywsze zajęcia. Bliższych szczegółów w tej chwili jeszcze dać nie możemy.

Drukuje się, jak słyszeliśmy, życiorys Mik. Kopernika, wykończą album i medal pamiątkowy, na który przez dobrze rozumiany obowiązek posiłkowania nam w walce przeciwko zaborczemu duchowi germańskiemu, podpisują się licznie

Rosyanie. Album ma być bardzo piękne, medal niemniej, o życiorysie prędzej sądzić się nie godzi, aż go ujrzemy w druku. Zadanie to było nadzwyczaj trudne, a tak różnorodnych wymagające wiadomości i nauki, iż ledwie jest siłom jednego człowieka dostępnem. To, co z wielką troskliwością o szczegóły nader pracowicie napisał D. A. Wołyński, raczej ciekawość zaspokaja, niż przedmiotowi samemu światło nowe daje.

Krakowski konkurs dramatyczny, nie wiemy, o ile to jest prawdziwem, ma być bardzo obficie i znakomitej wartości dziełami obelany (jeśli się tak wyrazić godzi). Sędziowie będą tylko mieli nadzwyczajną trudność wyboru sztuki, któraby na pierwszą zasługiwała nagrodę. Tragedye, dramata, komedye i to wierszem a bardzo pięknym, dochodzą pono do liczby trzydziestu kilku. Do ostatnich dni grudnia może się ona jeszcze powiększyć.

Taż sama czynność panuje w pracowniach naszych malarzy. Matejko pracuje nad Kopernikiem, wszyscy inni młodszy i starsi każdy sobie z pospiechem na wystawę wiedeńską się gotują, na której szkoła polska (tak w Paryżu ją nazwano) wystąpi bardzo świetnie. Jaroczyński (o którym gdzieindziej obszerniej powiemy), Elias, Rodakowski, Gierymscy, Kotzisz, Kossak, Gryglewski, Zaleski, Leför, choć rozbici pod różnemi chorągwiemi, na wystawie w istocie jedną moralną całość przedstawiać będą. Radzilibyśmy tylko mnogim podróżnym, których te prace zwabić muszą do Wiednia, ażeby zawczasu się zaopatrzyli: w pieniądze i cierpliwość. Pierwszych szczególnie wiele potrzebować mogą, a i druga się przyda. Przyznajemy się, że bez trwogi o natłoku cudzoziemców w ciasnych murach Wiednia myśleć nam prawie niepodobna. Gdy w powszednie dni trudno tam o izdebkę do przenocowania, cóż to będzie czasu wystawy? Ostrożniejsi już teraz po wsiach okolicznych najmują mieszkania, zamierzając sobie codziennie dojeżdżać koleją do miasta, które w żadnym razie nie wydoła naciskowi podróżnych. Paryż mógł to uczynić nie podnosząc cen do zbytku, tu fizyczne jest niepodobieństwo ugoszczenia i warunki miejscowe całę inne. Ci, których wystawa najmocniej obchodzić będzie, ludzie pracy, chcący się czegoś nauczyć i z widzenia jej skorzystać istotnie, najmniej mają nadziei, ażeby o nich pomyślano. Spekulacya zawczasu rachuje na bogatych i na jak najwyższe ceny przymusowe... A przytem Wiedeń jest szczupły... Może przyjdzie obozować na Kahlenbergu na pamiątkę Jana III.

Przygotowania są olbrzymie, Wiedeń chce zaćmić wszystkie wystawy świata poprzedzające. Obiecuje się to okazałem, a jest niesłychanie ciekawem dla tych, którzy poprzedzające wystawy zwiedzili i sumiennie zechcą je porównać, badając, jaki postęp uczynił przemysł, rękodziela i sztuki. Od londyńskiej do wiedeńskiej przestrzeń czasu jest ogromna i droga przebieżona niemniej w wielu zawodach znaczna. Niemcy chcą wystąpić godnie, jak przystoi ich nowemu położeniu. Dzieło Kruppa i tu zapewne główne będzie zajmować miejsce wśród plodów ich sztuki.

J. I. KRASZEWSKI.

## ZE ŚWIATA.

(Dozorca skarbu). Kto przed dwoma laty przechodził w Paryżu przez most „Pont des arts,” uważał zapewne ślepego starca, na którego piersiach wypisane były te słowa: „Utraciłem wzrok przez nieszczęsny wypadek w czasie jazdy.” Spowodowany swoim nieszczęściem, nauczył się ten człowiek grać na klarncie, i rozdierał odtąd od rana do wieczora uszy przechodniom, wygrywając melodeje z „Lunatyczki”. Miał on psa przy sobie, rodzaj szpela, który był cały zabłocony i nosił w pysku koszyk, do którego przechodnie składali jałmużnę. W czasie walki komuny ugodzony został ślepiec kulą w głowę i zginął na miejscu. Pies powrócił do pomieszczenia swego pana i położył się jak zwykle spać na małym sienniku pod schodami. Ponieważ nikomu nie zawadzał i żył tem, co znalazł na ulicy, cierpiano go w domu. Ale wierny towarzysz zabitego nie zaniechał swej zwykłej, codziennej wycieczki. Codziennie zrana o godzinie dziewiętej stawał na końcu mostu i zbierał do swego kosza jałmużnę dla ślepego, który już nie istniał. Wprawdzie nie widziano starca, ale mimo to dawano jałmużnę z przyzwyczajenia. Pewnego rana uderzyło to dozorcę domu, w którym mieszkał ów starzec, że pies nie zeszedł, i w ciągu dnia znaleziono go nieżywym. I gdy wtedy sprzątano łożo nieboszczyka, znaleziono w sienniku sumę 11,000 franków w samych monetach miedzianych.

(Do historyi anonsów). Zwyczaj podawania anonsów w gazetach jest o wiele młodszy niż same gazety. Jedno z pierwszych, jeżeli nie pierwsze ogłoszenie, drukowane w dziennikach angielskich, tyczyło się poematu bohaterskiego: „Irenodia Gratulatoria” z powodu zwycięstw Cromwella w Irlandyi. Przed dwustu prawie laty nie znano jeszcze wcale anonsów; dopiero za rzeczypospolitej i za panowania Karola II. zaczęły one w Anglii wchodzić w używanie. Pierwszemi anonsami były ogłoszenia księgarskie i listy gończe. W numerze wrześniowym dziennika „Mercurius Politicus” z r. 1569 ogłoszoną została oprócz książek religijnych: „Rdzeń Ewanieli” i „Kilka westchnień z piekła czyli jęki duszy potępionej”, broszura J. Milтона o dziesięcinach i dochodach duchowieństwa, a zaraz potem następował list gończy za zbiegłym terminatorem, który jak najdokładniej był opisany, zaczawszy od ospowatej twarzy aż do trzewika. W ogóle zawiera każdy list gończy z owych czasów znamię: „ospowaty”. Dnia 28. czerwca 1660 szukał sam król przez dzienniki zgubionego psa. Drugi anons, odnoszący się do tego psa, naprowadza szyderczym tonem swoim na myśl, że sam król go pisał; powiada bowiem, że pies ten był własnością króla i na wszelki sposób został skradziony; że nie urodził on się ani wychował w Anglii, gdyż inaczej nie byłby nigdy opuścił swego pana; a w końcu dodane jest następujące upomnienie: „Czyż nigdy nie przestaniecie okradać króla? Czyż on nie może trzymać psa? Posada tego psa, chociaż lepsza, niż wielu sobie wyobraża, jest jedyną, o którą nikt króla nie prosi.” Także patentowane lekarstwa bywały wcześniej ogłaszane, jak np. sławne pastylki na kaszel, proszek do zębów i woreczek do zawieszania dzieciom na szyi „dla ochronienia ich od choroby angielskiej.” W maju 1664 ogłasza król, że tylko w tym miesiącu będzie leczyć cierpiących na ból głowy swoim cudownym dotknięciem, a potem

przestanie aż do św. Michała, „ażeby przez ten czas nie przychodzili ludzie do Londynu i nie przerywali robót swoich.” Później zaczęto chłopców murzyńskich wystawiać na sprzedaż lub ogłaszać ich ucieczkę. Nie zbywało też od samego początku na usiłowaniach, by za pomocą niezwyklej formy zapewnić większą skuteczność anonsowi. Tak między innymi opisuje komornik Georg Robins z fantazją prawdziwie orientalną powaby realności, wystawianych przez niego na licytację, i wyznaje z naiwną otwartością, że pewna włość szlachecka, którą ma na sprzedaż, ma dwie wielkie wady, których usunąć niepodobna, mianowicie pełno liści różanych, których żadna miotła uprzątąca nie zdoła, i nieustanny wrzask słowików, odzywający się z pośród krzewów. Nie mniej ciekawe są anonsy bandlarza sukien, Moseśa, który dla zalecenia swego towaru opowiada cały romans wierszami.

(Rzadka spokojność umysłu.) Ludzie uczeni są po największej części cierpliwi, pracowici i weseli. Takimi byli Galilei, Descartes, Newton, Laplace, Euler i inni. Ale jedną z najcięższych prób, na jakie może być wystawioną cierpliwość ludzka, musiał przebyć naturalista Abauzit podczas pobytu swego w Genewie. W pewnym względzie była ona podobną do nieszczęścia, które dotknęło Newtona, a które tenże zniósł z równą rezygnacją. Między innymi poświęcał Abauzit wielką uwagę barometrowi i jego zmianom, ażeby z tych zjawisk wywnioskować ogólne prawa ciśnienia powietrza. Przez dwadzieścia siedm lat robił codziennie spostrzeżenia i zapisywał je na kartkach papieru. Gdy pewnego dnia przyjętą została nowa służąca, zabrała się ona zaraz z całą gorliwością do robienia porządku. Między innymi uległ tej puryfikacji także gabinet naukowy Abauzita. Gdy nazajutrz wszedł do niego uczony i nie znalazł swoich notatek, zapytał się służącej: „Coś zrobiła z temi papierkami, które leżały na barometrze?” — „Te były tak brudne” — odrzekła, że je spaliła i zastąpiła temi nowemi kartkami.“ Abauzit założył ręce na krzyż, walczył przez chwilę sam ze sobą, a potem rzekł spokojnie: „Zniszczyłaś owoc dwudziestosiedmioletniej pracy. Na przyszłość nie ruszaj nic w tym pokoju.”

(Olbrzymi fagot.) Wylewano już olbrzymie dzwony, sporządzano olbrzymie bębny i budowano olbrzymie organy. Także o kilku olbrzymich fagotach donosi historia muzyki. Jeden z takich fagotów sporządził angielski fabrykant fletów, Stainsley, do użycia na wielkiej uroczystości kościelnej. Mianowicie miała się odbyć w r. 1727 koronacja Jerzego II., i chciano ją odprawić bardzo uroczystie, bo naród angielski pokładał w nim wielkie nadzieje. Z ceremonią kościelną w takim razie łączą się w Anglii spiewy kościelne, których tekst wyjęty jest z biblii, najczęściej z psalmów. Do czterech pieśni takich ułożył Händel nową muzykę, i podług jego instrukcyi sporządził Stainsley ów olbrzymi fagot długości szesnastu stóp. Kompozytor obiecywał sobie po tym gigancie ogromny skutek, i zmartwił się wielce, gdy fagociście Lamposin nie powiodło się pokonać tego olbrzyma. Także późniejsze próby muzykantów z tym monstrualnym instrumentem były bezskuteczne, aż wreszcie w r. 1784 udało się fagociście wojskowemu, Ashly, zagrać na nim. Co się dalej stało z tym instrumentem, niewiadomo.

(Gazety rymowane.) Rymowane anonsy, choć nieraz bardzo niedorzeczne, spotykamy dość często w naszych dziennikach, ale gazet rymowanych nie znajdzie teraz pono nigdzie. Dawniej nie były one rzadkością, szczególnie we Francji. Już za burzliwych czasów rejency królowej Anny obiegało w Paryżu mnóstwo tajemnie drukowanych paszkwilów wierszami na ministra Mazariniego, które też zwano „Mazarinadami“. Poźniej wychodziły humorystyczne pisma ulotne, które w zabawnych wierszach opowiadały wypadkiienne i w wyższych towarzystwach miały nadzwyczajną wziętość. Z nich to powstały później Charivari i Figary. Najważniejszym z tych rymowanych dzienników była „Muse his orique“ Loreta. Wychodziła ona bez przerwy przez piętnaście lat, od r. 1650 do 1665, co środy i soboty, w formie rymowanego listu do księżniczki Longueville, w którym Loret z niewyczerpanym humorem i życiem opowiadał wszystkie nowiny polityczne, literackie i towarzyskie. Loret miał wielu naśladowców, między innymi Scarrona, który w r. 1655 próbował zużytkować w taki sam sposób swoją zjadliwą satyrę, ale mimo talentu swego nie mógł spółzawodniczyć z Loretem, i już z trzydziestym piątym numerem przestał dziennik jego wychodzić.

(Pogrzeb u mrówek.) Mrówki odznaczają się nadzwyczajną troskliwością w niesieniu sobie nawzajem pomocy. Zranioną zanoszą zawsze do jej pomieszkania, a nieżywą chowają z rodzajem konduktu żałobnego. Niejaka Mistress Lewis-Hulton w Sidnej opowiada dziwną historiją. Pewnego dnia gorącego ukąsiło jej dzieci do 20 mrówek, które zaraz zaduszone. Około tych trupów zebrało się mnóstwo innych mrówek, i wysłały czterech deputowanych do ich kolonii. Wkrótce potem powróciła deputacya z całym korowodem mrówek, które powoli parami ciągnęły na miejsce, gdzie leżały trupy. Każdą zabita mrówkę, jak uważała Mistress Lewis-Hulton, składano do osobnego grobu. Kilka ociągających się od roboty mrówek zabito natychmiast i zakopano w wspólnym dołku. Opowiadająca miała kilkakrotnie zrobić to samo spostrzeżenie. Zmarły niedawno Gerstecker śmiał się z tego mówiąc: „Do uzupełnienia mistyfikacyi brakuje tylko, żeby która z mrówek miała mowę pogrzebową“. Na wszelki sposób jednak musi w tem być cokolwiek prawdy, bo przecież i Dupont utrzymuje, że mrówki mają w niejakiem oddaleniu od swoich pomieszkań spólny cmentarz, na który zanoszą trupy.

## Nowe książki.

Od Redakcyi. Rozpoczynając ten nowy dział krytyczny w piśmie naszym, upraszamy PP. autorów, którzy pragną mieć przegląd prac swoich, o nadsyłanie takowych zaraz po wyjściu do Redakcyi „Strzechy“ w księgarni F. H. Richtera we Lwowie.

1872. Stuletniej niewoli rok pierwszy. Dzieło zbiorowe. Cena 4 talary. Poznań. Nakładem Tygodnika Wielkopolskiego. Czeionkami Ludwika Merzbacha.

Tak się nazywa i tyle kosztuje dawno zapowiedziane przez Redakcyę Tygodnika Wielkopolskiego dzieło zbiorowe na pamiątkę stuletniej rocznicy niewoli naszej. Dzieło to nazywa się niewłaściwie, ale jeżeli się zważy obszerność i cenność prac w nim zawartych, nie wiele kosztuje. Co do tytułu, ten podwójnie jest niewłaściwy. Najprzód: 1872. Stuletniej niewoli rok pierwszy, to osobliwie brzmi i na pierwszy rzut oka nic nie znaczy; jeżeli jednak nagniemy się do rozumienia prawdopodobnego wydawców, i pochwycimy wreście, że książka ta nazywa się „Stuletnia niewola“, a obecny tom jest tej książki rocznikiem pierwszym: — to i tak jeszcze zarzut nasz co do niewłaściwości tytułu w pełni pozostanie. Przejrzymy bowiem treść. Cóż w niej znajdujemy? W części pierwszej Kopernik w Italii. Stronnie 288 większa połowa dzieła. Rozprawa wiele erudytna i ciekawa, ale cóż ma wspólnego ze stuletnią niewolą? Książęta Czartoryscy: mniejsza, że namiętnie i jednostronnie opracowane, ale to główna, że także nic wspólnego z celem

dzieła nie ma; ledwo więc tylko „Pamiętnik w Polsce 1794 opis Polaków katorżników w Usolu i Historia medalami zaświadczone“ (odbitka z „Dziennika Poznańskiego“) z powodu Jubelfestu Malborskiego, bliższy lub istotny stosunek do tytułu mają. Tak jak jest, jest to bardzo cenne dzieło zbiorowe, które jednak bardzo maluczko o stuletniej rocznicy mówi. Wydawnictwo nie pojęło celu, rzecz więc jest bez planu. Ani obrazu upadku i kolei naszych aż do dnia setnej rocznicy, ani listy strat i nabytków; słowem nic żywego, nic związanego z tą rocznicą ściśle, tylko liczne nagromadzenie prac w tece i wydrukowanie ich w przypadkowym układzie. Wartości dzieła to nie uwłacza; ale nie jest ono pamiątką stuletniej rocznicy; chyba tylko tak, jak nią może być każda książka wydana w 1872 r.

M. R.

Biblioteka Narodowa. Tom X. Opactwo Grodzieckie. Przez Paulinę Wilkońską. Lwów. Nakładem F. H. Richtera.

Rzecz ta przypada wybornie do programu tej prawdziwie narodowej „Biblioteki“. Przesiąknięta nawskróś najserdeczniejszym patriotyzmem, najzacniejszą tendencyą, jak wszystkie zresztą prace zasłużonej autorki, tem się różni od innych, że tutaj talent p. Wilkońskiej, ze spokojnych scen wewnętrznych rodzinnych, przechodzi na pole dramatyczniejsze, skreśla obrazy walk głębszych i sroższych niż gdzie indziej. Wzmianka ta krótka wystarczy dla polecenia tej pracy czytelnikom, tem

bardziej, że szerokie koło potrafiła już sobie wyrobić długoletnią, pożyteczną pracą p. Wilkońska.

W. F.

Krzemieniec. Przygody i wspomnienia studenta pierwszej klasy. Przez Walentego Spektatora. Kraków. Nakładem księgarni wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych 1873.

Książka ta, jak już sam autor w przedmowie uprzedza, jest napisana dla młodzieży dorastającej, w celu pedagogicznym. Z tego punktu sądzić ją należy, i celowi swojemu czyni za-

dosyć. Oczami ducha autor patrzy na Krzemieniec; bohater jego opowiadania wspomina sobie w starości tę ożywiającą atmosferę, ze swego dzieciennego punktu widzenia skreśla charakterystyczne postacie Czackiego, profesorów itd., cały kalejdoskop, jaki przed jego młodocianą żrenicą się przewijał. Książka ta pożyteczna i na gwiazdkę stosowna. Wartości artystycznej w obrobie nie ma zupełnie, a wstęp nawet dla dziecka zbyt gadatliwie i nużąco napisany.

K.



### NA WAŁACH HETMAŃSKICH.

- Patrz Stefcu, patrz: pan Julek.
- Cóż on ma z żydkami?
- Nie patrzmy w tę stronę, żeby go nie zażenować.
- Że też ci lichwiarze nie znaleźli sobie innego miejsca do swych spekulacji, tylko właśnie wały hetmańskie, przeznaczone do przechadzki!

— Ależ to przecie całkiem naturalnie: zbierają się w miejscu, gdzie się przechadzamy, bo podstawą interesów, jakie z młodymi panami zawierają, są posagi. Kredyt i hipoteka schodzą się tu więc na jednym gruncie.